Nr. 5. Lwów, dnia 1. Maja 1888. Rok XI.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

Klęska sarn w zimie r. 1888.

przez

KAZIMIRZA Hr. WODZICKIEGO.

Lament, wygłoszony w kwietniowym numerze „Łowca" przez komitet redakcyjny, znalazł ogłos w każdem myśliwskiem sercu. Umysł objąć nie może klęski doznanej, ani obrachować liczby ofiar tej srogiej zimy. W większej części rewirów nawet nie znaleziono i nie porachowano sarn poginionych. W jednych ginęły z głodu, nie mogąc się dokopać do roślin, w innych, przy obfitej karmie, ginęły na zapalenie płuc. Dziwne bo to bywają u zwierząt zwyczaje — jak np. w sarnach pewien niepokój, który je pędzi jak zły duch, niedozwalający odpoczynku, i to bez widocznej przyczyny. Nawet sarny nakarmione łażą ustawicznie i my przyczyny tej ruchliwości odgadnąć nie możemy.

W przeciągu pół wieku mego badawczego życia, przypominam sobie trzy zimy, zasługujące na pamiątkowy opis, z powodu śniegów głębokich i mrozów, ścinających krew w żyłach. Zimy jednak z temi śnieżnicami, zawieruchami, dmącymi wichrami, piętrzącemi się zaspami, i zaciemniającemi świat zadymkami, co ostatnia, ani pamięć ani myśliwskie notatki moje wykazać nie mogą. W zimach powyżej wspomnianych ziemia była zamarznięta do twardości skały, a w tym roku pod śniegiem wilgotna była ziemia i można było laską głębokie dziury robić. Ale zwierzynie nic to nie pomogło, gdyż głębokość śniegów nie dozwalała dogrzebać się i dokopać do roślinności.

W czasie jednej zimy pamiętnej, spadły były głębokie śniegi na skamieniałą ziemię, że ani pieszo, ani konno, ani saniami nie można było obciąć dzików w miocie; najzapaleńszy i najchciwszy chłop nie pokusił się tropić za najwyższą nagrodą. Wtedy to cała młodzież dzicza wyginęła. Pamiętam znalezionych, w wianek ułożonych siedm młodych warchlaków, w innym lesie nadybałem dwie trójki podobnych, przytulonych do siebie, jak karpie w stawie, chudości szkieletowej. W innej zimie wyginęły dziki z przyczyny zupełnego nieurodzaju bukwi, żołędzi i orzechów, a skamieniałej ziemi ryło ruszyć nie mogło; zimy te zdziesiątkowały dziki, lecz sarny wyszły obronną ręką.

Do dnia 29. grudnia z. r. igrała z nami zima, jesień z nią zwycięzko walczyła, a zubożywszy nas mrozem w dniu 13tym października, broniła nas od zimna. Niespodzianie 29. wskazał termometr 19° mrozu, 30. podniósł się do 22°. Zaiskrzyła się cała przyroda, strach ogarnął ludność wobec tej niespodzianki, ogół mieszkańców z dreszczami przebie-

gał myślą te długie i nieskończone miesiące polskiej zimy.

Cudowną ręką nas nieba zasypały śniegami, lecz cudowniejszą jeszcze takowe usunęły. Zdumiewał się umysł, gdy znikały niezgłębione śniegi, bez pomocy deszczów i ostrych promieni słońca; w krótkim czasie rozpłynęły się owe białe barykady, gmachy i forteczne wały.

W styczniu począł śnieg padać spokojnie, wszakże niebawem wiatr północno-zachodni zmienił kierunek i poziomo go pędził. Gęste kłęby, niby bez wagi, nie padały na ziemię, lecz niesione w daleki świat, niebo zakrywały. Piekielna ta śnieżnica, rozhukana zawierucha, zamieć niezapamiętana, ciemna zadymka miota, syczy i huczy, pędząc lodowate bałwany; gdzie wolna przestrzeń, bez granic niesie w świat swe gromy, zdaje się na krańce. Śnieg szuka oparcia, pragnie odpoczynku, aby piętrzyć śnieżne gmachy, lecz nieubłagany uragan, nito z piekieł wyczarowany, pędzi i pędzi, spocząć nie dozwoli. Gdzie pagórek, chata, ściana lasu, tam z wytrwałością znosi i opiera swe zapasy, mury stwarza wysokie, wsie z dachami zasypuje, pnie oblepia śniegiem, a sypiąc bez przerwy na konary i gałęzie, układa białe węże rozmaitej długości i grubości. Na zrębach przykrywa pniaki, łamie rośliny sterczące, niszczy śladu porębu, a zostawia białą przestrzeń, to fałdowaną, to falistą na podobieństwo morza, to wygładzoną i błyszczącą. Starsza leśna młodzież broni się przeciw nieubłaganemu wrogowi, kołysze wierzchołki, kaleczy się wzajemnie, szumi, szeleści, klekocze, widocznie błaga o odpoczynek.

Walczą giętkie drzewa, jęczą i lamentują, nie jeden wierzch odłamany, nie jedną gałęź na ziemi i pnie pęknięte widzieć można, w końcu zwyciężone czołem biją przed zwycięzcą, chylą wierzchy coraz niżej ku ziemi, na kształt sztandarów wojska pobitego... Eol straszny i nieubłagany pędzi, świszczy po nad niemi, motłoszy, co się jeszcze nie poddało, widocznie ma swój cel i przeznaczenie. Niekiedy na chwilkę ciekawe słońce się wychyli, lecz zgrozą przejęte nasuwa zasłonę, nie mogąc znieść tej walki w przyrodzie.

Nareszcie przeminął zaśnieżony styczeń i oczekujemy spokojnego powietrza, a tu niebiosy podniosły wszystkie zastawki i sypią bez przerwy lodowatą mączką. Boreasz dmie bez przerwy w jednym kierunku i zapowiada zupełne zasypanie przyrody.

Niezapamiętana była to klęska dla sarn, pomimo obfitej karmy, zadawanej co drugi dzień. Zima ta zaiste udowodniła pożytek krytych szop, gdyż tam jedynie przechowana była sucha, zdrowa karma. Porozstawiane po liniach ocipki koniczyny, pomimo codziennego otrzepywania były wilgotne i w części stały się trucizną, przysypywane dniem i nocą.

Doczekaliśmy się tygodnia w lutym, w którym nie upatrzono ani jednego dnia do zadania karmy po liniach, a że nie wszystkie sarny dosyć śmiałe, aby chodzić do szopek, srogi więc głód cierpiały. Zauważałem od wielu lat, że rzepak w suchych jesieniach jest zdrową i nader pożywną karmą dla sarn, w mokrych zaś jesieniach wytwarza osłabiające zarodki błednicy, często powoduje szkodliwe nader rozwolnienia. Tę samą uwagę mogę uczynić o rzepaku, gdy na nim mokry śnieg leży.

Już w początku zimy młodzież nie była wesołą i ruchliwą, nie była zaokrągloną, leniwym wzrostem pokazywała, że jej brak krwi dokucza, brnąc za matkami i starszemi męczyła się nad miarę i w końcu ginęła na zapalenie płuc, jak sekcya udowodniła. Kto nie widział, wyobrazić sobie nie może wysilającą się sarneczkę, aby zdążyć za starszemi: przystawały i piszczały, jak na rozpacz wołając o pomoc, bokami robiły, mordeczki otwierały, a niekiedy się kładły wobec widocznego niebezpieczeństwa. Penzel rogacza można było tylko przypadkowo dopatrzyć; u młodych był zupełnie zakryty. Badając pochód sarn, widzieć można było czynione wysilenia przez starsze sarny, ich zmęczenie, a cóż dopiero powiedzieć o rzeczywistem męczeństwie młodzieży, idącej z tyłu wydeptanemi ścieżkami. Osłabienie sarniąt było bardzo wielkie, obojętność na niebezpieczeństwo bez granic (rogaczyk mi pod nogi ścieżką wyszedł), to też łapali je naganiacze bez trudności.

Na jednem z polowań przyniesiono mi siutkę dosyć schodzoną. Zanieśliśmy ją do ocipki koniczyny i postawili; ona poczęła skubać nie ruszając się z miejsca wobec gwarliwego myśliwstwa. Łapane przez naganiaczy sarneczki były tak chude, że żadnego rogaczyka na kuchnią użyć nie można było. Na młodych, jasnych i białych porębach nawet w oddaleniu spostrzedz można było najeżoną sierć, sterczące kości i otwarte mordeczki. Dziś trudno zobaczyć roczną sarnę w lesie; większa część męczenic śniegów wyginęła.

Żeby dać wyobrażenie o klęsce doznanej, donoszę, że w rewirze, posiadającym mniej więcej 70 sarn, znaleziono i psom odebrano 30 sztuk, w tej liczbie 29 rocznych. Całe nasze zadanie, wzmocnienie sarn przez gorzkie solnice piołunowe, z tatarakiem, oblane anyżkowym olejkiem, nader lubionym przez sarny. Doświadczyłem skuteczności niemłóconej wyki, zadawanej w szopkach i przechowującej się sucho; jej gorycz przyspiesza trawienie, a chętnie ją pożywają.

Wątpliwości nie podpada, że się zwierzęta mową porozumiewają, ostrzegają i na żer zapraszają. I tak, w rewirze, w znacznem oddaleniu od wsi, pojawiały się coraz liczniejsze kundysy miejskie, widocznie zwoływane i znęcone po odkryciu łatwości łowienia sarn. Pomimo strzelania, dotkliwe one wyrządzały szkody. Niechcąc nużyć łaskawych na mnie kolegów, przytoczę tu jeden fakt tylko, dowodzący, z jaką łatwością stawały się sarny ofiarami psów. Mały piesek, ratler, w naszych oczach pogonił sarneczkę i udusił; powtórzył to po raz drugi i odebrano mu te sarneczki. Nie do uwierzenia, a prawdziwe. Sarna z miejsca podskoczyła, kilkanaście razy stanęła, oglądając się na psa, i nieruszona jeszcze beczeć poczęła. Czuła biedaczka swą niemoc na niezgłębionych śniegach!

Najprzykrzejszy był dla mnie widok sarny na miejscowościach z lekką skorupą śniegu: kroczyła pomału z wielką ostrożnością rozszerzając raciczki, po chwilce zapadała i tonęła w śniegu. Wydobywszy się z wysileniem, przodem zapadała, zad trzymając do góry, to znowu zad zapadał i zdawało się, że dęba staje; gdy zaś jedną zanurzyła nogę, przedstawiała karykaturę sarny.

Przykre wrażenia pozostały po odbytych polowaniach. Dokuczliwe było zimno, najczęściej twarz siekła śnieżnica, a małe nawet mioty wymagały godzinę trwających gonów; obrazki zaś sarn, pozostałe w wyobraźni, dokuczały jak upiory myśliwemu. Szczęście wielkie, że w moich rewirach nie ma lisów, a rosyjskie wilki nie przybyły do nas prawdopodobnie z przyczyny niezgłębionych śniegów, utrudniających im wędrówki ulubione.

Oswojenie tegorocznych sarn mnie rozbroiło. Stawały się niemal domowemi zwierzętami, porzuciwszy wrodzoną płochliwość i ostrożność. Może o 200 metrów od uczęszczanej drogi postawiona była sterta koniczyny i ta się stała istną restrauracyą dla sarn. W dzień i w nocy można było widzieć ich tam kilka i kilkanaście. Jednego dnia narachowaliśmy 27 sztuk wieńcem stojących około; hałas chłopów

i sani wcale ich nie straszył, do tego stopnia, że najedzone kładły się pod stertą jak pijaki, nie opuszczający już szynkówni, i tylko oczkami zerkały na nas. Nie było już odwagi do nich strzelać. Śmiało mówię, że można było furę nawozu sarniego wywieźć z pod sterty.

Z Francuzem powtórzę: Witam cię nieszczęście, gdy samo przychodzisz. Na moje sarny już się wszystko sprzysięgło w tym roku. i polarne śniegi i kundysy, ale ostatni epizod zatrząsł mym myśliwskim organizmem. Znowu nie do uwierzenia, a prawdziwe. Wyjadając koniczynę w połowie sterty coraz głębiej, nie zostawiły nareszcie oporu wiatrom. Otóż jednego dnia rozhukany uragan, uderzając w wierzchnią część sterty, zerwał całą jej połowę i ciężar spadającej koniczyny udusił mi na śmierć trzy młode i starą siutę, zdaje się całą rodzinę. Siedm zdołało uciec.

Miły oku był widok sarn, wychylających się z gąszczy za gajowym. niosącym karmę, lub wiozącym takową na saniach. Ledwie doszedł do drugiej stacyi, już przy pierwszej skubały koniczynę. Widocznie jak u ludzi tak u zwierząt sobkostwo rozpowszechnione i zakorzenione. Widziałem stare sarny odpędzające młode, nawet matki swe sarniątka, tłukąc je i szturchając, co mnie zmusiło do kładzenia podwójnych ocipek. Co też nędzę ich powiększało, to gaszenie pragnienia wyłącznie lodowatym śniegiem, nie miały bowiem siły i odwagi brnąć do odległych zdrojowisk po niezgłębionych śniegach. Dziwne i wyjątkowe epizody zaryły się w pamięci po tej zimie i przez długi czas trwać będą, smucąc duszę myśliwską. Wystawiam sobie, co się dziać musiało w rewirach niedostarczających karmy; tam pewnie cmentarze sarnie istnieć muszą, jeżeli przed nawiedzającą klęską sarny nie wywędrowały.

Zajęcy jest mało od dwóch lat, lecz się znakomicie przezimowały. Jadły suchą i mokrą koniczynę, nie zostawiając śladu tejże, a na miejscach ocipek leżały bobki na kilka cali wysokości. Nie daleko spoczywały nie troszcząc się o żer, czekały wieczora, aby spożyć pozostawione przez sarny resztki; to też tropów w środku miotów trudno było dopatrzeć. I wcale nie były chude, pomimo, że kilkakrotnie po trzy doby siedziały bez ruchu i pożywienia w śniegowych norach. Niedługo po spadnięciu śniegów, zając rozpuściwszy swe szczoteczki, chodził po powierzchni; wszakże sobie skrzętnie udeptywał ścieżki i z nich nie schodził wobec myśliwego, widocznie w biegu zapadał.

Podziwienia godna natura tego leśnego lubieżnika; myśl objąć nie może siły i wytrwałości tego zwierza. Dnia 15. stycznia stałem na zarośniętej łące z rozległym widnokręgiem, gdy zobaczyłem kupkę zajęcy, złożoną z czterech kłębujących i walczących zajadle w obec samicy, która się naprzód pomału posuwała na kształt zachęcającej kokietki. Jeden z zajęcy, widocznie wprawny szermierz a rozbestwiony chuciami, bez litości turbował swych współzawodników: szarpał turzycę, targał za słuchy, a zmotłoszywszy przeciwnika, pędem spieszył za wybraną, podczas gdy poturbowane zające z tyłu za nim dążyły. Gdy się na strzał zbliżyły (święty Hubercie, odpuść mi ten grzech, serdecznie żałuję i winę swą wyznaję!) zabijam samicę. Waleczny samiec pojąć nie może, co się jej stało, siada nad trupem, medytuje i oczywiście pada od strzału. W tem nadlatują poturbowane zające, siadają nad memi ofiarami i, strojąc najdziwaczniejsze miny, czekają śmierci. Tak w jednej chwili zginęło całe wesele, p r z y 14 s t o p n i a c h m r o z u i d o k u c z l i w e j ś n i e ż y c y.

Znowu 20. lutego wybiegło na mnie drugie wesele, z trzech sztuk złożone. Samiczka szła naprzód w prysiudach, samce w parze doganiały wcale nieuciekającą samicę, a niekiedy spinały się do siebie jak psy. Faworyzowanego zająca wypatrzeć nie mogłem. W dniu tym srożyła się siekąca w twarz śnieżyca przy mrozie 12-stopniowym. Pewnie oprócz kruków i krzywodziobów żadne stworzenie się nie parowało.

Zauważałem po raz pierwszy w tym roku legowiska sarn na powierzchni śniegu, widocznie nie posiadały dosyć sił, aby racicami dokopać do ziemi w niezgłębionych śniegach.

Byłem zupełnie przygotowany na utratę rodu kuropatw i liczyłem jedynie na złapane i przezimowane w izbie, a tu zdumiewająca niespodzianka mnie spotyka, bo cudownie zachowane zostały. Widocznie w puchowatym śniegu spoczywały w krużgankach swych niedaleko stert pszenicznych, dosyć licznych przy tegorocznym urodzaju *).

Zdaje się, że zapasy śniegu niewyczerpane, i że sklepienie niebieskie potrzebuje wymieść resztę śniegów, gdy widzimy 8. kwietnia padające gęste płaty śniegu. Na cztery cale wysokości na zielonawej trawie ściele się śnieg lekki, mokry lecz wytrwały i uparty, słońcu stawia czoło; jest on na zagładę przeznaczony, lecz do ostatniej chwili zawzięcie z temperaturą walczy. I znowu klęska na lube ptaszyny, powoływane terminem do przylotu na ten biały całun. Ni owadu, ni ziarnka, ni robaczka na powierzchni, jedynie jałową trawką głód oszukiwać wypada przy dokuczliwym zimnie. Ptaszęta, srogo nawiedzone, napuszyły pierze, kupią się w gromadki, radzą jak zapobiedz śmierci głodowej, skrzętne, lotne i zabiegliwe, smutne nad wyraz, wszakże nie szemrające, w przyrodzie bowiem wola najwyższa wykonana, władza uszanowana, uległość zupełna.

Słonki się pojawiły pierwsze na głębokich jeszcze śniegach, pojedyńczo lub parami. Raz widziano 5, drugi raz 7 przed nagonką. Leśniczy jednego wieczora naliczył 17 ciągnących w jednym kierunku, nie kołujących na ciągu i nie zapadających wcale. Widocznie zrekognoskowawszy biegunową naszą okolicę, powędrowały dalej. W kwietniu ciągu żadnego nie było; pojedyńcze i parki, ruszane jeszcze, są oczywiście przeznaczone latować w okolicy.

I tak dziwnie nas Stwórca nawiedził; zamoczył nam w jesieni zboże, zamroził 13. października kartofle, a niezgłębnionemi śniegami uniemożebnił ruch w zimie, do tego zadał niezapamiętaną klęskę sarnom. Pomimowolnie w myśli nasuwa się proroctwo na r. 1888: *Totus mundus vae clamavit* — bo się poczyna sprawdzać.

Olejów 13. kwietnia 1888.

---

*) W wielu korespondencyach do „Łowca“ czytam: „puściłem lub puszczę parami kuropatwy“. Jeżeli puszczone w bliskości, to swój swoją znajdzie, jeżeli zaś puszczone na szerokiej przestrzeni, to z pewnością pozostanie wiele par jałowych. Długoletnie doświadczenie nauczyło mnie i stawiam jako pewnik, że kuropatwy wszystkie, jak były przezimowane, tak powinny razem być puszczone w jedno miejsce. Kto temu pewnikowi nie wierzy, niech się przekona na własnych doświadczeniach.

Walka z wilkami.

Przygoda sybirska

opowiedziana przez

WŁADYSŁAWA CZAPLICKIEGO.

(Z notatek pośmiertnych.)

Na Mazuli, wiosce odległej o trzy wiorsty od Aczyńska, jedno z najpierwszych miejsc między gospodarzami tamtejszymi zajmował Michał Iwanowicz Striełków. Był on nie tylko najbogatszym we wsi, ale nadto rozumem swoim i godnością w postępowaniu zjednał sobie powszechne poważanie nietylko u wszystkich gospodarzy, ale zarazem u kupców i czynowników miasta Aczyńska, a nawet u samego sprawnika. Posiadał on najpiękniejszy dom i największe we wsi gospodarstwo, konie jego w dalekiej znane były okolicy, a owce, których miał bez liku, zakupowano od niego na rozmnożenie, ładniejszych bowiem nie było w całej okolicy.

Dom Striełkowa urządzony był z wszelkiemi w Syberyi praktykowanemi wygodami, posadzki i schody lakierowane, dywanami kosztownymi wysłane, ściany „gornic“ (pokoje na piętrze) tapetowane, okna bluszczami ubrane, a do stołu i herbaty serwis bogaty i gustowny, łyżki, łyżeczki, cukiernica, szczypczyki i sitko z srebra kaukazkiego. Jego tarantasy i koszowe (sanie) odznaczały się elegancyą i wygodą. Żona zacna i wzorowa gospodyni, nie pierwszej już młodości, zajęta tylko gospodarstwem i dziećmi, nie troszczyła się więcej o nic. Dwóch małych synków wysyłali do Aczyńska, a nadto domowego dla nich utrzymywali nauczyciela.

Oprócz tych dwóch synków mieli Striełkowie jeszcze dorosłą, 18-letnią córkę Aksenię. Było to dziewczę smukłe i wiotkie, blondynka o czarnych i śmiejących się oczkach, zgrabnym nosku i karminowych usteczkach, a cała postać ujmująca, prawdziwie dziewiczym odznaczała się wdziękiem. Aksenia Michajłówna czytała płynnie, pisała ładnie, haftowała najlepiej z pośród wszystkich rówieśniczek, umiała wszystkie kobiece robótki, a że śpiewała pięknie i tańczyła zgrabnie, prowadziła we wsi rej między dziewczętami i licznych miała adoratorów. O rękę jej ubiegali się nie tylko najdzielniejsi chłopcy Mazuli, ale nawet synowie kupców pierwszego rzędu i dygnitarzy wysokich, ba nawet sami dygnitarze. Dziwna, że dotąd żaden z ubiegających nie mógł poszczycić się względami Akseni.

Nadszedł nareszcie rok 1865, w którym to czasie Moskwa cały Sybir zalała Polakami. Dom Michajła Iwanowicza liczne mieścił w sobie komnaty, dla tego właśnie do niego kilku Polaków sprowadziło się na mieszkanie. Aksenia wszystkim wpadła w oko, każdy z nich wszelkiemi siłami starał się jej przypodobać, ale niestety na próżno.

U tych to rodaków bywał w odwiedziny dość często ich towarzysz broni i niewoli Jaś K., mieszkający w Nazarowy, odległej od Mazuli o 33 wiorst. Był to młody, miły, zuchowaty młodzieniec, nie liczył więcej nad 23 lat, jasny blondynek, smukły, gibki, niezwyczajnie wykształcony, z dobrem wychowaniem, pełen poetycznych fantazyj. Otóż Jaś był owym szczęśliwcem, na którego promienie czarnych oczek Akseni padały łaskawie, a i Jasiek widocznie zajął się Aksenią, w rozmowie bowiem z kolegami wynosił ją pod niebiosa. Przybywszy też w odwiedziny do kolegów, prawie cały czas przepędzał pod rozmaitymi pozorami u gospodarstwa, gdzie go Aksenia po całych dniach bawiła, matka bowiem ciągle zajęta była domowem gospodarstwem, a ojciec koło roli. Przy odjeździe do Nazarowy, Aksenia aż do samego tarantasa lub do koszowej wyprowadzała Jasia, a koledzy, zapewne tylko przez złość, utrzymywali, że podając dłoń do uścisku, smętnym żegnała go wzrokiem.

* * *

Nazarowa, sioło wielkie, liczące około 3.000 mieszkańców, równie jak Mazula położona nad wspaniałą rzeką Czułymem, ciągnie się po jednej i drugiej stronie brzegów tej rzeki. Sioło to zamożne, gospodarze bogaci, to też do sioła tego także na mieszkanie a raczej na posielenie wielu zesłano Polaków. Byli to przeważnie ludzie zamożni i dobrze wychowani. W pierwszej chwili lękali się ich tamtejsi mieszkańcy, później atoli poznawszy ich bliżej, pokochali serdecznie. Bez Polaków nie odbyła się żadna zabawa, żaden wieczorek, żadne chrzciny, żadne wesele. Polacy z swej strony, muzykalni, mający pomiędzy sobą i skrzypków i flecistów, a kieszeń nie pustą, zapraszali Nazarowców także do siebie i z równą ugaszczali serdecznością.

Pewnego razu postanowili nasi wyprawić z muzyką i tańcami sutą wieczorynkę. Oprócz kolegów zamierzyli zaprosić na nią także dziewczęta i młodzieńców Nazarowskich, oraz kilka dziewcząt z Mazuli. Na wniosek Jasia K. była oczywiście między wybranemi również Aksenia Michajłówna. Gdy zaś przed parą miesiącami młodzieńcy z Mazuli uczuli się obrażonymi, że im na wieczorynkę do Nazarowy zabrano dziewoje, zapadła decyzya, ażeby zaproszone, za porozumieniem się tylko z rodzicami, uwieść potajemnie.

U jednego z kolegów w Nazarowy obszerny był lokal składający się z trzech, dość dużych pokoi, w których mogła pomieścić się znaczna liczba osób. Ten lokal przeznaczono na wieczorynkę i poczyniono wszelkie potrzebne przygotowania. Gdy zaś i orkiestra improwizowana zadowalniająco próbę odbyła, ruszył Jaś z swoim gospodarzem i jego żoną w potężnej koszowej po Aksenię na Mazulę. Aksenia, uprzedzona już przez Jasia, przygotowała strojną sukienkę i z niecierpliwością wyczekiwała przybycia swego wielbiciela. Co chwila wybiegała przed dom, a wreszcie, wziąwszy jednę z najbliższych sąsiadek, pod pozorem przechadzki wyszła na przeciwko.

Mróz był silny, stopni przeszło 40, mimo tego dopiero o zmierzchu wróciła do domu nie doczekawszy się Jasia. Nigdy jeszcze nie zdarzyło się, ażeby Jaś nie przybył do niej o oznączonym czasie, więc zamyślona i smutna siedziała pod oknem z wzrokiem utkwionym w stronę, skąd miał Jaś przybyć, gdy zaś już i noc zapadła, a Jasia jeszcze nie było, zalała się gorzkiemi łzami.

Perswazye rodziców i przyjaciół żadnego na nią nie wywierały wpływu. Trapiona złem przeczuciem bezustannie powtarzała:

— Jomu cztoto słuczyłoś, Hospodi Boże spasi jewo!

Jaś tymczasem znajdował się w drodze do Mazuli. Wyjechawszy z Nazarowy dość późno, nie mógł przybyć przed północą do swej ukochanej. Było skutkiem tego trochę wymówek i trochę fochów, lecz za to później tem milsze przeprosiny, które się aż do późna w noc przeciągnęły. Wśród śmiechów i wymownych spojrzeń omawiano tajemniczą wyprawę do Nazarowy, tak, aby się o tem zazdrośna młodzież Mazuli nie dowiedziała.

Nazajutrz po obiedzie, trzy obszerne koszowe, każda zaprzężona trójką dzielnych rumaków, przy odgłosie dzwonków, wśród hukania i śpiewów opuściła Mazule. W pierwszych saniach na przeciwko Michajła Iwanowicza i tegoż żony, siedziała Aksenia i Jaś i coś szeptali do siebie a radość i szczęście tryskało im z oczu. W drugiej koszowej jechały inne na wieczorynkę zaproszone dziewczęta Mazulskie, a w trzeciej koszowej jako straż tylna, kilku naszych Sybiraków.

* * *

Mróz był silny, przeszło 45 stopni. Z ziemi, jak zwykle przy takim mrozie, wydobywała się para jak z garnka, że zaś zimowa droga po największej części wiodła Czułymem, konie pomykały szybko, tak że o samym zmierzchu wjeżdżali już nasi znajomi do Nazarowej.

Gospodarze i koledzy Jasia, usłyszawszy dzwonki, wybiegli przed bramę, witali serdecznie przybyłych i wprowadzili do domu. Zaledwie zdołano rozebrać się z futer, zaledwie Aksenia przyodziała się w strojną sukienkę, rozpoczęto oświecać dom i wkrótce poczęli się schodzić zaproszeni. O godzinie 8 wszystkie pokoje były zapełnione. Improwizowana orkiestra, składająca się z dwóch skrzypiec, wiolonczeli, fleta i klaryneta zagrała od ucha i puszczono się w tany.

Należy tu wspomnieć, że w Syberyi w ogóle jedynymi instrumentami, których tam używają, są zwyczajne trąbki wojskowe, bęben i „bałabajka“, t. j. rodzaj ordynarnych z miękkiego drzewa uciosanych skrzypców, bez porównania lichszej roboty, niż skrzypce sprzedawane u nas po małomiasteczkowych jarmarkach. Na tych skrzypcach znajduje się jedna, czasami dwie, rzadko kiedy trzy strony baranie, także swojskiej roboty. Po tych strunach uderza się w takt w poprzek wielkim palcem albo wszystkiemi na raz palcami posuwiście. Przy dźwiękach takiej to muzyki tańczą zwykle w Syberyi.

Łatwe do pojęcia, jakie wrażenie uczyniła orkiestra naszych zuchów na gościach, a głównie na dziewczętach. Kto widział poprzednio tych niemal półdzikich ludzi tańczących przy nieharmonijnym brzęku bałabajki, a ujrzał ich później przy miłych a harmonijnie dobranych dźwiękach muzyki naszych towarzyszów, pojął odrazu olbrzymi wpływ, jaki w ogóle wywiera na ludzi każda piękna muzyka, poznał jej władzę łagodzenia surowych obyczajów. Nietylko dziewczęta ale i chłopcy rozpływali się z radości, twarze ich szlachetniejszego nabierały wyrazu, a prawie dzikie przy bałabajce skoki przybrały zupełnie inny charakter. Zdawało się jakby tańcujący raczej płynęli lub unosili się w powietrzu z gracyą, poprzednio nigdy tam niewidzianą.

A nie trzeba sobie wyobrażać, że wiejskie dziewczęta były strojem do dziewcząt naszego ludu podobne. Gdzie tam! Ubrane były prawie tak, jak u nas panienki klas średnich: suknie materyalne albo wełniane według „najnowszej mody“, opóźniającej się co prawda blisko o rok, eleganckie, obcisłe buciki, bieluchne pończoszki, zawsze do tańca świeże rękawiczki i t. d.

Po każdym niemal tańcu wnoszono herbatę, tamtejsze piwo, butelkowy kwas chlebowy, którego smak podobny do szampana, chociaż nie upaja, a nawet i lody, jakich tam przedtem nie znano. W środkowym pokoju umieszczone były stoły, zastawione butelkami rozmaitych nalewek, wędlinami, marynatami, galaretami i rozmaitego rodzaju potrawami zimnemi. Około północy dłuższa nastąpiła przerwa i zaproszono wszystkich do stołu na wieczerzę o gorących potrawach. Rozumie się samo przez się, że wszyscy bez wyjątku zachwyceni byli nietylko muzyką i zastawą, ale jeszcze więcej serdecznością przyjęcia.

Jaś nie odstępywał Akseni, tańczył tylko z nią i towarzyszył jej na każdym kroku.

Gdy się wreszcie młodzież trochę rozdzieliła, dziewczęta aby poprawić zmięte sukienki i rozburzone włosy, a chłopcy na papierosa, weszło nagle do pokoju mężczyzn dwóch młodych junaków, braci rodzonych z Mazuli.

Oddawszy zwyczajny pokłon znajdującym się w pokoju, przywitali się z wszystkimi, poczem wyrazili ubolewanie, że nasi, uprowadziwszy im potajemnie dziewoje, ich nawet nie raczyli zaprosić.

— Nieczysta to sprawa — mówili — ale i my chcemy się zabawić.

Nasi zgodzili się chętnie i właśnie chcieli przejść do tanecznej izby, gdy wtem doszła ich ztamtąd niezwykła wrzawa, i dały się słyszeć krzyki i jakby głosy wołające o pomoc. Jaś rzucił się na pomoc, lecz jeden z Mazulaków zastąpił mu drogę.

— Eto niczewo — rzekł — swarjat sia mieżd' soboju, utiszut sia. — Jaś chce jednak wyjść mimo to, ale Mazulacy niby to żartem, a niby na serjo zatrzymują go przemocą. Rozgniewany roztrącił obudwu i wybiegł do sieni.

W sieniach uderzał go coraz głośniejszy krzyk wszystkich niemal dziewcząt i chłopców, a żona Michajła Iwanowicza ujrzawszy Jasia zawołała:

— Iwan! Akseniu uwieźli, spasi jeja!

Rzecz miała się tak: Mazulska młodzież nie żyjąca nigdy w zbyt wielkiej zgodzie z Nazarowską, dowiedziawszy się o potajemnem zaproszeniu dziewcząt Mazulskich z pominięciem ich na wieczorynkę, uczuła się obrażoną; postanowiła też potajemnie wykraść dziewczęta napowrót z wieczorynki i uwieźć na Mazulę. Dobrze obmyślany plan powiódł się im zupełnie. Zanim zdołano się opatrzyć, już przemocą wyprowadzono dziewczęta, otulono w przygotowane futra, wsadzono do koszowych. W chwili gdy Jaś wybiegł na podwórze, kilka sani ruszyło z przed domu lotem błyskawicy i niknęło już w oddali. Z odgłosem dzwonka zdawało mu się, że słyszy wołanie Akseni....

* * *

Zrobił się rozruch między naszymi. Jaś zażądał pomocy kolegów. Postanowiono dogonić zuchwalców, ukarać ich przykładnie i odebrać dziewczęta. Naszych było kilkunastu, wszystko młodzież zuchowata, a oprócz tego znajdowało się na miejscu kilkudziesięciu „koniuchów“ (parobków do koni) właściciela kopalni złota, Kuźniecowa. I między tymi było trzydziestu Polaków, którzy, zesłani na Sybir, przyjęli służbę koniuchów. Byli to tędzy parobcy. Plan wyprawy powstał w jednej chwili; poruszono wszystkich koniuchów, posiodłano konie i wszyscy nasi razem z koniuchami ruszyli z kopyta. Ponieważ Mazulska młodzież miała być liczna

i uzbrojona w gwintówki, więc i z naszych każdy zarzucił broń palną na ramię, lub uzbroił się w nahajkę.

W Syberyi trudno pomylić drogę, istnieje bowiem jeden tylko gościniec, a w niektórych miejscach jak n. p. z Nazarowy do Mazuli wytknięty jest przez rzekę, a mianowicie przez Czułym.

Mróz był wielki, a choć pod kopytami około 50 koni skrzypiał śnieg okrutnie, zaledwie orszak minął bramę Nazarowską, uszu naszych doleciało przeraźliwe, zdala się odzywające wycie wilków. Jakkolwiek orszak pomykał coraz szybciej, wycie zdawało się zawsze z jednakowej odzywać odległości.

— Słuchaj-no — odezwał się jeden z naszych do dowódzcy orszaku — zdaje się, że wilki albo uciekają przed nami, albo gonią kogoś, kto wie, czy nie Mazulskich.

— Słuszna uwaga — odparł dowódzca i wołając „za mną!“ puścił się cwałem.

Sybirskie konie to nie nasze chmyzy. Należy widzieć ich bieg; kopyt nie dojrzy, tak się migają, nozdrza rozwarte szeroko, główka i szyja wyciągnięte jak struna, a brzuchem niemal ziemi sięgają.

Tak pędził cały orszak, skrzyp śniegu a zarazem tentent koni rozlegały się daleko aż dudniała ziemia.

Na dworze było ni ciemno, ni jasno, choć księżyc świecił. Dalej, jak na 15 do 20 kroków, niepodobna było rozróżnić przedmiotów. Ale już coraz bliżej i bliżej orszaku odzywało się wycie wilków. Wtem do uszu orszaku doleciał odgłos strzału.

— To Mazulscy się bronią! — wykrzyknął Jaś i pomknął naprzód przed wszystkimi. Za nim puścili się inni. Zaledwie jednak ujechał paręset kroków, spostrzeżono, że koń Jasia, skoczywszy nagle w bok, wysadził go z siodła i rzucił o ziemię. Gdyśmy się do niego zbliżyli, dźwignął się wprawdzie z ziemi, lecz nie mógł dosiąść konia.

Na trzy kroki przed koniem ogromne wilczysko tarzało się we krwi. To była przyczyna, dla której koń Jasia wyrzucił go z siodła.

— Trzymaj się ostro, a jedź za nami powoli — zawołał dowódzca i krzyknąwszy „marsz, marsz!“ puścił się co koń wyskoczy.

Cały orszak popędził za nim. Jaś wysadzony na konia, jechał tuż za orszakiem. Kilka wiorst bez ustanku cwałowaliśmy jak szaleńcy, a wycie wilków odzywało się coraz bliżej a bliżej. Znowu padł strzał, a orszak pędził coraz szybciej. Nareszcie zdawało się, że tuż niedaleko słychać jakąś wrzawę. Rżenie konia i jęk ludzki przeraźliwy a głośny przeszył powietrze. Znowu pędzimy, a nahajkami i czem kto może do tem szybszego biegu pobudzamy konie. Napróżno dowódzca usiłuje wzrokiem przeniknąć dalszą przestrzeń; dalej jak kilkanaście kroków przed sobą nie widać. Wtem „wilk, wilk!“ krzyknął jeden z kolegów na prawo, „wilki, wilki!“ krzyknął ktoś z lewej strony i tuż obok orszaku i prawie razem z orszakiem sznurowało kilkanaście basiurów.

— Baczność koledzy! — zawołał dowódzca — konie trzymać krótko, osadzić się dobrze i pewnie i broń mieć gotową do strzału!

Tymczasem wrzawa zwiększa się coraz więcej, słychać ją coraz bliżej i bliżej i już wyraźnie rozróżniamy ludzkie o pomoc wołanie. A tu jak na przekorę, białemi płaty zachmurzyło się niebo i jeszcze bardziej zaciemniło widnokrąg.

Orszak pomyka jeszcze szybciej, każden z orszaku coraz to silniej to łydką, to kolanami ściska swego konia, konie rozwarły szeroko nozdrza i parskają silnie, wtem — o cudo! słup ognisty wystrzela na niebie, a przecudnej piękności światło różowe zalewa cały widnokrąg.

To zorza polarna.

Zrobiło się jaśniej. Na trzydzieści kroków przed sobą widzimy jakąś masę, jak gdyby łuną krwi oblaną, a rojącą się na ziemi.

— Baczność! — zawołał dowódzca i osadził konia na miejscu.

Rozpoznajemy sanie i konie, powalone na ziemię i porozszarpywane przez gromadę zgłodniałych basiurów. Orszak rozsypał się w mgnieniu oka i rozpoczęła się strzelanina. Pierwszy, dowódzca nasz, wystrzałem z gwintówki powalił wilka na ziemię; za jego przykładem kilkanaście padło strzałów, chociaż nie wszystkie tak jak jego celne. Zbliżono się ku saniom i jeszcze raz dano ognia, lecz wilki tak były rozżarte, że nawet na strzały nie wiele zwracały uwagi. Dopiero gdy kilkanaście ich padło albo raniono, poczęły odcinać się, a wreszcie uciekać, lecz zatrzymywały się w pewnej odległości i wyły przeraźliwie.

Chłopcy mazulscy, należy im przyznać, popisali się dzielnie, wziąwszy bowiem w pośrodek wykradzione dziewczęta, odważnie kolbami bronili wilkom do koszowych przystępu.

— Gdzie reszta sani? co dzieje się z niemi? — zapytał dowódzca.

— Pomknęły naprzód a gromada wilków za niemi.

W tej chwili i Jaś dopadł do sani:

— Aksenia Michajłówna! czy tu?

— Nie — odrzekł jeden z Mazulaków. — Przed nami.

— A więc za mną! — krzyknął Jaś.

Dowódzca, zostawiwszy przy saniach dziesięciu dobrze uzbrojonych ludzi, puścił się z resztą orszaku za Jasiem. W tym orszaku, w pierwszej czwórce na prawem skrzydle, cwałował Jaś.

Jaś naglił do pospiechu. Chociaż ujechano już cwałem kilkanaście wiorst, dzielne rysaki nie zwalniały wcale w biegu, a nawet, jak gdyby czuły całą grozę chwili i że od ich biegu zawisło życie kilku ludzi, zdawały się pędzić jeszcze szybciej.

Tymczasem zorza północna, co chwila inne przybierając barwy, przyświecała nam jasno.

Po dłuższej cwałowania chwili, znów z poprzed orszaku ozwało się wycie. Rozróżniono sanie, napadnięte przez gromadę wilków. Huknęły dwa strzały i wnet usłyszeliśmy głośne krzyki kobiece i jęki rozpaczy. Jaś spiął konia i pierwszy stanął u sani. Raz tylko dał ognia i powalił wilka, a potem mimo wzdragania się konia, trzymając gwintówkę za lufę, wpadł między wilki niemal w sam środek z okrzykiem „Aksenia!“

W tej chwili już cały orszak otoczył sanie. Znów padły strzały. Rozżarte wilki odcinały się z wściekłością, a jeden z ranionych podskoczył i konia Jasiowego ukąsił w chrapy. Koń z bolu szarpnął się silnie, odskoczył w bok i znowu zrzucił Jasia na ziemię.

Walka była krótka ale zacięta i tem zaciętsza, gdyż jak pokazało się później, pierwszy strzał Jasia powalił wadęrę. Padło kilkanaście wilków, licząc w to i ranione, które później pałkami dobito. Jaś upadł tak szczęśliwie, że nie straciwszy przytomności, co prędzej zerwał się na nogi i silnem uderzeniem kolbą dobił ranionego już wilka. Wszystko to trwało kilkanaście minut. Dopiero teraz mogliśmy się dowiedzieć, co się działo z sianiami. Wilki dopadłszy ich rzuciły się na konie. Te, skrępowane uprzężą rzucały się, ko-

pały i szarpały, ale na próżno. Liczba przemogła, wilki wkrótce rozciągnęły je i całą gromadą rzuciły się na nie. Kilka strzałów ze sani powaliło wprawdzie dwa wilki, ale to było tylko hasłem, ażeby inne rzuciły się na sanie. Mazulacy bronili się wprawdzie wściekle, ale mimo tego wilk jeden, rzuciwszy się w sam środek koszowej, powalił swem cielskiem i tak już przerażoną Aksenię i dość silnie pokaleczył dwóch chłopaków.

Stało się to właśnie w tej chwili, gdy orszak cały dobiegał do miejsca walki i otoczył sanie. Jeden z koniuchów, ujrzawszy przy blasku świecącej zorzy wilka w koszowej, silnem uderzeniem kolbą przełamał mu krzyże, wilk zawył z boleści i kłańce swoje zatopił we futro jednego junaka. Jeszcze parę kolb w głowę i wilk rozciągnął się nieżywy, jeszcze silniej we futro zaciskając kłańce.

W czasie gdy koniuchy, doganiając wilków tonących w głębokim śniegu, dobijali je pałkami albo kolbami strzelb, Jaś zbliżył się do sani, odrzucił cielsko wilka, leżącego na Akseni i wydobył nieszczęśliwą.

W godzinę później, poszarpane przez basiurów konie, zastąpione zostały wierzchowcami i cały orszak ruszył z powrotem do Nazarowy. Wielu koniuchów miało po jednym wilku przytroczonym do siodła. O białym dniu, przy wesołym odgłosie pieśni bojowych, wjechaliśmy z tryumfem do wsi, gdzie nas przyjęto okrzykami radości.

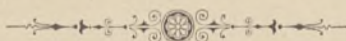
Na rachunek zwycięstwa, odniesionego nad gromadą wilków i na uczczenie tak świetnego powodzenia całej wyprawy, zaczęła nam improwizowana orkiestra przygrywać tańce za tańcami, więc ochoczo i wesoło wraz z dzielnymi Mazulakami bawiliśmy się do białego rana dnia następnego.

* * *

Epilog tej przygody jest wcale nie wesoły. Na biednej Akseni nie przeszedł bez śladu przestrach i przemarznięcie na trzaskącym mrozie. A może tam w głębi serca gryzła ją jeszcze jedna czarna myśl, że uroczy Laszek to bałamut, który frunie koło niej i nie osiedzi się, ale wróci na rodzinne łany, gdy mu carski humor dozwoli śniegi sybirskie porzucić...

Gryzło ją to wszystko — i kaszel coraz suchszy i coraz czarniejsze przeczucia. Uśmiechała się chwilami do Jasia ale tęskno i coraz tęskniej — i niknęła z dniem każdym.

A gdy Jaś znowu raz zawitał w gościnne progi Michała Iwanowicza Striełkowa, zastał Aksenię bladą i martwą jak śniegi sybirskie i cichą jak echo w stepach rozwiane...



NIEDŹWIEDZIE NA WĘGRZECH I W SIEDMIOGRODZIE.

Wedle relacyj

M. Hohenberga i H. Mosera.

Przed niewielu laty należały w Austro-Węgrzech łowy na niedźwiedzia jeszcze do rzadkości. Jeśli w Munkackich kniejach górskich dwa lub trzy niedźwiedzie trupem położono, to pisma łowieckie zajmowały się tem wiele i zazdroszczono szczęśliwym wybrańcom losu, którzy mogli się do mysia zmierzyć.

Dziś rzeczy znacznie się zmieniły.

W górskich puszczach Marmaroskich, które przed 15 laty mało jeszcze znano, trafiała się zawsze sposobność zapolować na niedźwiedzia. I było gdzie. Sama n. p. gmina Borza, rozrzucona u podnóża Pietrochy, mająca przeszło 4 mile kw. górskich lasów i połonin, przeznaczonych prawie wyłącznie na wypas, przyjmowała chętnie każdego łowca, który chciał się zmierzyć z kudłaczami, bo zrządzały jej one wiele szkód w bydle i w zasiewach. A urządzano te łowy bez nagonki, tylko z pomocą dwóch lub trzech juhasów i psów, kundysów, których często oni sami dostarczali. Czasem ubito też jakiego mysia w nocy, na zasiadkę, około koszar z bydłem, pod które się zakradają. I wytworzyli się w ten sposób niedźwiedziarze z profesyi, wołoscy chłopi lub Rumuni, którzy z dwoma lub trzema kundysami, do niedźwiedzich kudłów dobrze zaprawionymi, z miejsca na miejsce się włóczyli. Mieli oni w tem swój rachunek. Kasa komitatowa płaciła sutą premię za ubicie kudłacza, gmina, w obrębie której niedźwiedź padł, dodawała ze swej strony co mogła, rada, że się pozbyła rabusia, a futro także nie źle płaciło.

Ale od czasu wydania nowej ustawy łowieckiej, zaprowadzenia podatku myśliwskiego i opłat od broni, zmniejszyła się liczba tych niedźwiedziarzy. Gdy zresztą koleje żelazne zbliżyły świat cywilizowany do gór Marmaroskich, znaleźli się tam prawdziwi miłośnicy łowiectwa, lub towarzystwa myśliwskie jako dzierżawcy polowania. Odtąd ustanowiono lasowych i dozorców łowieckich, którym nie wolno do niedźwiedzi strzelać lub wpuszczać niedźwiedziarzy dawnego autoramentu do kniei, gdyż zwykle w późnej jesieni lub z nadejściem zimy urządza się już regularne łowy na mysia. Tym sposobem wytworzył się na przeważną część roku pewien rodzaj ochrony dla rodu niedźwiedziego, i ztąd pochodzi, że wyniki polowania z ostatnich lat są istotnie zadziwiające. Szkody, które skutkiem częściowej ochrony w gospodarstwach włościańskich tu i owdzie się wzmogły, bywają przez właścicieli polowania sowicie poszkodowanym nagradzane.

Oto niektóre daty co do wyników łowieckich z roku ubiegłego.

W Görgény i w lasach, należących do hr. Telekiego, ubito w ciągu 6 dni w 14 strzelb 10 niedźwiedzi. Lepszy jeszcze rezultat był w lasach Fogaraskich i Sybińskich (Hermanstadzkich). Na odbytem tam o tejże samej porze polowaniu położono 14 kudłaczy. W październiku r. z. na polowaniu, urządzonem przez Borgo-Prundzkie Towarzystwo łowieckie, które kilka górskich obszarów leśnych dzierżawi, ubito w trzech dniach 10 sztuk. W lasach Zabolajskich

skonstatowano z końcem Października z. r. 13 niedźwiedzi, z których 3 padło, jeden zaś, raniony, poturbował mocno trzech ludzi. Na łowach, które urządzał kilkakrotnie hr. Emanuel Andrassy w Gömöroskich dobrach, padało zwykle 2 lub 3 sztuki; toż samo na polowaniach u ks. Filipa Koburskiego. W kniejach Jabłonkowskich zaś na Spiżu, nad brzegami Waagi, w lasach biskupstwa spiskiego, polują co jesieni na niedźwiedzie i zawsze z dobrym skutkiem.

Żadne jednak góry nie mogą się równać co do obfitości kudłaczy z górami siedmiogrodzkiemi. O ile w turniach Fogaraskich Alp snują się kozice, częstokroć po 30 razem, to znów leśne podgórze tych Alp jest siedliskiem licznych niedźwiedzi. Podrastające piastuny spuszczają się wiosną lub w lecie coraz niżej na połoniny, gdzie się bydło i trzody owiec wypasają, i tu założywszy sobie w pobliżu legowisko, zaprawia się młody bartosz do mordu i rabunku. Gdy bukiew i żołądź dobrze obrodzi, to czasem spuszcza się jeszcze niżej, aby przełożyć świeżem daniem roślinnem jednostajną strawę mięsną. I tu zresztą trafi się jakie źrebię lub owca dla urozmaicenia żywności.

Ulubione w Karpatach wyszukiwanie kudłacza w jego zimowej gawrze, ruszenie i ubicie, gdy mrucząc i rycząc łom swój opuszcza, mało jest w Siedmiogrodzie używane, gdyż niepodobna przebijać się do niego po wysokim śniegu, który tam rzadko tak marznie i tężeje, ażeby można było po wierzchu chodzić i nie zapadać się.

Oceniając wyniki polowań w Węgrzech i Siedmiogrodzie od października do grudnia 1887, dochodzi się do poważnej liczby przeszło pięćdziesięciu sztuk ubitych niedźwiedzi, z których przeważna część przypada na Siedmiogród.

Jako szkodnik okazywał się kudłacz najzuchwalszym w kniejach Gömöroskich i Jabłonkowskich. Kilka razy napadał tam to naganiaczy to strzelców, a nawet osoby, nie myślące wcale o polowaniu. Szczególnie mściwym okazał się jeden niedźwiedź, który w skutek strzału stracił łapę i odtąd na trzech tylko plądruje po lasach. Znają go w okolicy Żylina (Sillein) i zowią kulawym dyabłem, gdyż nieraz już, ujrzawszy spokojnie idącego człowieka, rzucał się na niego.

H. Moser tak opisuje polowanie w górach siedmiogrodzkich, odbyte w d. 23. października z. r.:

„Ostatniej nocy nastała ponowa. Góry i pola u ich podnóża ukazały się w białej szacie. Od świtu buszowali moi wołoscy strzelcy po lasach, a o 8. godzinie przynieśli mi wiadomość, że w najbliższem otoczeniu zamku (Zabola) odszukali trop trzynastu niedźwiedzi. Dobra nasza! Ukończyliśmy przygotowania i pod wodzą mego starego niedźwiedziarza Bogoli ruszyło cichutko 18 naganiaczy ku leśnemu wzgórzowi Salos, który tuż do parku zamkowego przytyka.

„O godz. 10 dano znak nagonce, która zajęła tylko dwa głębokie jary. Byliśmy w 5 strzelb: mój brataniec, hr. A. M., dwóch młodych myśliwych z sąsiedztwa, stary Bogoly i ja. Upłynęło 30 minut gorączkowego oczekiwania. Od czasu do czasu słychać wołania nagonki. Wtem widzę, że w leżącej tuż przed nami gęstwinie ruszają się gałęzie. Krzewy, pełne jeszcze liścia, nie dozwalają mi rozróżnić, co za zwierz się zbliża. Upływa znowu chwila, a tylko szczery myśliwy zdoła zrozumieć, jak ta chwila była długa. Kudłacz stanął w gęstwinie tuż naprzeciw nas. Na nieszczęście wiatr nam niesprzyja. Tymczasem nagonka się zbliża. Kudłacz porzucił swą kryjówkę i przebija się z jaru ku górze, aż gałęzie trzeszczą. Jest na odległość strzału, ale go przez gęstwinę nie widać. Wychodzi wreszcie na Bogolego, który był ostatni. Padł strzał i ryk się odezwał — drugi strzał a kudłacz zwraca się i ucieka z hukiem i hałasem. I tym razem mamy tylko emocyę, strzelać przez gęstwinę nie można. Wraca więc do miotu, ale po mowie jego słychać, że ciężko rażony. Nagonka idzie ciągle naprzód, może była jeszcze na strzał oddalona, gdy wtem z głębi parowu dobywa się przejmujący aż do szpiku krzyk: „Ratunku!“ Nie ma niestety wątpliwości, niedźwiedź napadł człowieka z nagonki.

„Po pierwszym krzyku powstał tumult nieopisany, wołania o pomoc, wrzask bolu i trwogi, wreszcie pada strzał. Lecz krzyki nie ustają. Jasnem jest, że w głębi parowu toczy się walka z kudłaczem ząb za ząb. Opuszczam więc moje stanowisko i biegnę. Wszak tu idzie o życie człowieka. Gdym się przedzierał przez krzaki, padły znowu dwa strzały. Stanąwszy na miejscu, skamieniałem z przerażenia. Dwóch naganiaczy tarza się na ziemi we własnej krwi, trzeciego ciągnie padający na ziemię kudłacz ze sobą. Jeden z młodych sąsiadów naszych p. M. G. wystrzałem na dziesięć kroków z gładkiej strzelby kulą raził niedźwiedzia między ślepie i uratował życie trzeciemu naganiaczowi. Przybiegł on także ze swego stanowiska o trzydzieście kroków odległego. Przybiegłszy, zobaczył niedźwiedzia na tylnych łapach, a w jego strasznym uścisku naganiacza, nad którym niedźwiedź całem łbem górował. Odważny młodzieniec złożył się i strzelił, a kula, przeszedłszy dopiero przez podniesioną rękę naganiacza, ugodziła mysia i położyła go trupem.

„Cała ta okropna scena, trwająca zaledwie kilkadziesiąt sekund, tak się odbyła: naganiacz Kovacz, zbliżając się do końca jaru, ujrzał niedźwiedzia, lecz nim zdołał wziąć go na cel, wstał myś na tylne łapy i rzucił się na niego. Teść Kovacza spieszy mu na pomoc z siekierą. Kudłacz rzuca więc pierwszą ofiarę, wpada na drugiego i potężnem uderzeniem łapy wytrąca mu siekierę z ręki. Wtem trzeci naganiacz, Koźma Ferencz, strzelił do niego z bliska. Kudłacz aż do wściekłości rozżarty, porzuca teścia Kovacza, wpada na Koźmę, wydziera mu pazurami lewe oko, policzek i część nosa, aż do mózgu, rozmiażdża szczękę i zrywa kawałami mięśnie z szyi i barków. Nieszczęśliwy ten człowiek byłby legł do reszty rozszarpany, gdyby nie młody nasz sąsiad, a kto wie co i z tym byłoby się stało, gdyby był chybił.

„Cała nagonka trwała 25 minut. Sześć niedźwiedzi było w miocie, trzy z nich przebiły się przez nagonkę, dwa wymknęły się dołem jaru, tylko ten jeden, samiec, o świetnem, prawie całkiem czarnem futrze, ważący 180 klgr. został na miejscu.

„Powrót do zamku był bardzo smutny. Cała wieś wysypała się przeciw nam, lecz na widok umierającego Koźmy i dwóch innych ciężko rannych, rozległ się płacz, zamiast okrzyków radości“.

Największy niedźwiedź siedmiogrodzki, którego Moser ubił w r. 1882, ważył 245 kilogramów.

W lecie mało tam słyszą o niedźwiedziach; dopiero w jesieni, gdy kukurydza zacznie dojrzewać, schodzą ku dołom i niszczą całe pola. Moser opowiada, że pewnej nocy księżycowej widział trzy naraz na jednym łanie kukurydzy. Po zbiorach, gdy szczyty gór śnieg już pobieli, robią sobie legowiska po brzegach pól i żywią się jagodami, żołędziami i innym leśnym owocem.

Myś bywa zresztą dość dobroduszny. Pewnego razu, gdy pastuch już o zmroku bydło z paszy spędzał, ujrzał, że jeden bawół odbił się od stada. Chciał go więc nawrócić, lecz zaledwie kij podniósł, ujrzał, że to okrutne niedźwiedzisko, które napad przyjęło z dobroduszną obojętnością.

Nawet koło samego zamku w Zaboli można w późnej jesieni spotkać się rano z tropem niedźwiedzi, które nocami przychodzą pod drzewa owocowe i zbierają opadły owoc. Ludzie tamtejsi już się z tem oswoili.

W grudniu dopiero, gdy spadną większe śniegi, wynosi się niedźwiedź w góry, gdzie go już nikt nie turbuje, bo chcąc z Zaboli dostać się do Rumunii, trzeba całymi dniami iść przez lasy niemal pierwotne.

Lecz i ludność uzupełnia jak należy ten obrazek siedmiogrodzki. Wołosi w swych ogromnych czapicach baranich, z pod których wymykają się czarne, długie, skudłaczone włosy, Szeklery w krótkich spencerach a przylegających spodniach z grubego sukna, — gawędziarze i pijacy na umor — między tem zaś ogorzali i chytrzy cyganie — oto stafaża, godna niedźwiedziego kraju.

St.



PONOWNI GOŚCIE.

(Przypomnienie ornitologiczne.)

W roku 1863. pojawił się po raz pierwszy w naszym kraju i w całej Europie ptak dotąd tu nieznany: Pustynnik Pallasa Tyz. *(Syrrhaptes Pallasii, Temm. Fausthuhn).* Począwszy od 7. marca bito go w całym kraju i, niestety, zamiast w gabinetach, przechowywano go w lodowniach, skąd przechodził do kuchni. Jedyne dwa okazy, które wówczas ocalały, otrzymało Muzeum im. Dzieduszyckich od prof. Małaczyńskiego; zastrzelił on je pod Brodami dnia 8. maja 1863.

Od tego czasu nie było słychać w Galicyi o „Pustynniku". Dopiero w połowie kwietnia b. r. otrzymało Muzeum Dzieduszyckich z Radziechowa jeden okaz samca bez bliższych szczegółów, a od p. Feliksa Sozańskiego z Kornalowic dwa okazy, t. j. samca i samicę z tym dodatkiem, iż widział nie wysoko lecące całe stado, mogące liczyć przeszło sto sztuk Pustynników. Muzeum żywi gorącą wdzięczność dla szanownych dawców za te cenne przesyłki, a redakcya „Łowca" sądzi, że byłoby pożądane, gdyby myśliwi i w ogóle wszyscy miłośnicy przyrody zwrócili uwagę na tego pięknego ptaka, który musi najniezawodniej gnieździć się u nas, gdyż przy preparowaniu ubitej właśnie samicy znaleziono jaja, i to do tego stopnia rozwinięte, że niepodobna przypuszczać, aby je mogła była zanieść do właściwej swej ojczyzny.

„Pustynnik" należy do stepówek *(Pteroclinae)*, ma dziób krótki, szczupły, prosty, ze szczytem zaokrąglonym i końcem łukowato nachylonym; nozdrza nasadowe kuternowatemi piórkami gęsto pokryte; nogi trzypalcowe, z palcami grubymi, zrosłymi do samego końca w jednolitą łapkę, gęsto opierzone aż po pazury, które są szerokie, tępe, słabo łukowate; podeszwa wspólna, brodawkowatymi narostami okryta; w skrzydłach lotka skrajna najdłuższa, z nitkowatem, ku górze wygiętem przedłużeniem; ogon o 16 sterówkach, z których środkowe również nitkowato przydłużone.

Upierzenie tak opisuje Taczanowski:

„Samiec ma wierzch głowy szaro-oliwkowo-żółtawy, ze rdzawą szeroką smugą, ciągnącą się od tylnego kąta oka ponad uszami i spływającą ku spodowi karku; podgardle blado-rudawe, przechodzi stopniowo ku dołowi w odcień podobny wyżej wymienionym smugom; pokrywy uszne i smuga od nich spływająca po bokach szyi popielata. Niższa część szyi i przód piersi różowo-szarawe z oliwkowo-żółtym nalotem, kolor zaś części niższej, aż do brzucha jaśniejszy, wpada w odcień różowawy; te dwa kolory oddziela poprzeczna smuga, złożona z kilku czarnych prążek, zawartych między białymi końcami piórek. Na przodzie brzucha duża czarna, księżycowata przestrzeń; podbrzusze i podogonie białe; długie podogonowe pokrywy lekko rudawe, z czarną w pośrodku na najdłuższych plamą. Płaszcz piaskowo-rudawy, z czarnymi poprzecznymi pręgami, zmienionymi na barkówkach w duże zaokrąglone plamy; na niższej części grzbietu i kuprze czarne prążki węższe i gęściejsze. Pokrywy skrzydłowe koloru cokolwiek brudniejszego od niższej części piersi, ogrodzone od nadlotek szerokim pasem brudno-rdzawym; lotki popielate z czarnymi stosinami, u skrajnej brzeg i nitkowate przedłużenie czarne; nadlotki rudawe z czarną wzdłuż środka smugą; pokrywy podskrzydłowe płowe. Sterówki popielate czarno i rudawo upstrzone, z białymi końcami i brzegiem skrajnej; przedłużenie środkowych od 4—6 cali dochodzące, czarne. Wązka ciemno-żółtawo-brunatna tęcza okala obszerną źrenicę. Dziób brudno-popielaty; pokrycie nóg brudno-płowe; pazury czarniawe.

„Samica mniejsza od samca, z krótszemi przedłużeniami lotek skrajnych i sterówek środkowych, odznacza się w wielu szczegółach kolorytu. Wierzch głowy i kark ma rudawy czarno upstrzony; smuga zaoczna i podgardle jednostajnie rude, o wiele bledsze; kolor ten podgardla oddzielony od mocniej niż u samca popielatego spodu szyi i wyższej części piersi czarną wązką przepaską; między zaś odmienną barwą niższej połowy piersi nie ma prążkowatej przegrody samcowi tylko właściwej; grubsze ma czarne prążkowanie na grzbiecie i takież kropelkowate plamy na pokrywach skrzydłowych. Inne części jak u samca.

„Wymiary: Długość skrzydła złożonego u samca 246, u samicy 220, długość ogona u samca 218, u samicy 152 mm."

Ojczyzną „Pustynnika" są obszerne stepy środkowej Azyi, zacząwszy od północno-wschodniego brzegu morza Kaspijskiego aż do Tybetu i południowej granicy Syberyi wschodniej. O pojawieniu się Pustynników w Europie w r. 1863 tak pisze Taczanowski:

„W r. 1863 ptaki te odbyły niezrozumianą dla nas wędrówkę do środkowej Europy; w połowie maja liczne ich stada pojawiły się naraz w rozmaitych stronach Niemiec i krajów sąsiednich, zacząwszy od Węgier aż do Prus zachodnich, pobrzeży i wysp Bałtyku, i osiedliły się na lato po piaszczystych obszarach tych krajów. Zostały w Europie przez całe lato, a następnie wszystkie wyniszczono. Zasilono przez to lato wiele zbiorów europejskich okazami nastrzelanymi w różnych okolicach i pobarczonymi w przelotach o druty telegraficzne. Tak długi ich pobyt między licznymi ornitologami niemieckimi nastręczył sposobność poznania

wielu szczegółów z ich obyczajów, nie zupełnych jednak, gdyż się w tych stronach nie gnieździły.

„Z powodu długości ich skrzydeł, przedstawiających niejakie podobieństwo do gołębi, upatrywano dawniej zbliżenie pustynników do tych ostatnich; obserwacye jednak niemieckich naturalistów nie potwierdziły tej opinii i przekonano się, że ptaki te pod wielu względami więcej zbliżają się do kuropatw. Przebywając ciągle na ziemi, przypadają tak samo i ukrywają się przed wzrokiem nieprzyjaciół, przy pomocy ubarwienia zbliżonego do koloru piaskowatych gruntów, których najwięcej się trzymały. Lot ich, jakkolwiek bystrzejszy niż innych ptaków grzebiących, nie jest równie wytrzymały i lekki jak gołębi; ciężko się zrywają, z łoskotem podobnym jak inne ptaki grzebiące, a przytem nie wznoszą się tak wysoko, lecz zwykle o 30 lub 40 łokci nad ziemią wędrują. Dosyć były ostrożne, a mianowicie przepłoszone nie łatwo dawały się na strzał podchodzić. W ich głosie upatrywano podobieństwo do małych gatunków dżdżowników *(Charadrius hiaticula* i *minor L.)*; tak samo jak tamte często się odzywały, prócz tego w niektórych razach wydawały głos dosyć podobny do wabienia się naszej kuropatwy.“

Dodajemy tu niektóre szczegóły z życia pustynników wedle Raddego, którego opisy Przewalski w zupełności potwierdza.

„W połowie marca — pisze Radde — gdy śnieg jeszcze leży na pagórkach wysoko położonych stepów, przybywa pustynnik z południa i żyje tu małemi gromadkami, ale już w parkach. W łagodne zimy spotyka się go na północnowschodnich krańcach pustyni Gobi; ale i po ciężkich zimach pojawia się również o tej porze i gnieździ się nadzwyczaj wcześnie. W pierwszych dniach kwietnia są już jaja w gnieździe, a z końcem maja znosi je samica po raz wtóry. Po wylężeniu drugiego potomstwa, zmieniają częstokroć „Pustynniki“ miejsce swego pobytu, a w czasie zimowych miesięcy przenoszą się na południowy kraniec pustyni Gobi w północne podgórze himalajskiego łańcucha gór. Gniazdo ich jest bardzo niekunsztowne, podobne do gniazda różnych lotnych kurek. Gnieździ się zazwyczaj kilka par w sąsiedztwie, lecz nie wiele. W przesiąkniętym solą gruncie stepowym wygrzebują płytki dołek mniej więcej 12 ctmtr. średnicy, i okładają brzeg jego trawami, a czasem i tego nie robią. Jaj jest zwykle cztery, podobnych do jaj kurek, barwy jasnozielonawo-szarej aż do ciemno-brunatno-szarej, co się częściej zdarza. Na tem tle są one drobno nakrapiane brunatnemi kropkami w dwóch tonach barwy.“

Wszystkie te szczegóły podajemy z umysłu tak obszernie, ażeby zwrócić uwagę na ważnego ptaka przelotnego, który z niezbadanych przyczyn, czy stale czy chwilowo zmienia swe szlaki wędrowne i może stać się stałym gościem naszego świata ptasiego. Gdybyśmy mieli pod ręką jakiego rzymskiego augura, możeby on nam z lotu pustynników i zestawienia lat 1863 z rokiem bieżącym jaką wróżbę wysnuł, lecz takie kombinacye przestają już być ornitologicznemi, więc zostawiamy je — poetom. *Z.*



KORESPONDENCYE.

Z litewskiego Polesia w kwietniu.

(Łochwa niedźwiedzia na drzewie.)

Grono myśliwych, złożone z Macieja i Wilhelma Radziwiłłów, księcia Włodzimierza Czetwertyńskiego, hrabiów Xawerego Branickiego i Adama Sierakowskiego, słynnego akwarelisty p. Fałata z Warszawy i pełnomocnika dóbr ordynacyj Radziwiłłowskich, p. Abłamowicza, polowało od dnia 1. marca aż do 14. marca b. r. w dobrach ordynackich Radziwiłłowskich i Wittgensteinowskich na niedźwiedzie*). Zaproszenie na te łowy wyszło od księcia Antoniego Radziwiłła, ordynata na Nieświeżu, który niestety dla tragicznych wypadków w rodzinie cesarskiej w Berlinie zaszłych, nie mógł z nami polować. Zanim najdonioślejszy pod względem myśliwskim wypadek owego polowania opiszę, mam do wypełnienia obowiązek szczerej wdzięczności, składając w imieniu wszystkich moich towarzyszy podziękowanie nasze zacnemu gospodarzowi łowów za nader gościnne przyjęcie w głębi puszcz Poleskich i gorące uznanie za wzorowo zorganizowaną wyprawę naszą łowiecką. Przez owych dni 14 przejechaliśmy sankami 860 wiorst kraju, polując przez ten czas 10 razy. Ubiliśmy 8 niedźwiedzi, pomimo, że śniegi ogromne i niezamarznięte pod śniegiem błota polowanie bardzo utrudniały, a współdziałanie psów przy wyruszeniu niedźwiedzia prawie uniemożebniły. W Urzeczu, miejscowości powiatu Bobrujskiego, gubernii Mińskiej, o 24 wiorst od Mińska odległej, zdarzył nam się wypadek jedyny w dziejach litewskich polowań, bo spotkaliśmy się z niedźwiedziem, który miał swą łochwę (gawrę) na wysokim świerku! Już od kilku tygodni cała ludność wsi okolicznych schodziła się do ostępu „Starina“ o 5 wiorst od Urzecza, by owego niedźwiedzia na drzewie zobaczyć. W ciągu zimy zaległ on na 2 kolejno drzewach. Od dwóch tygodni obrał sobie swą łochwę na świerku, na którym my go napotkali, dojechawszy 8. marca do Urzecza. Było to najwyższe drzewo w całym ostępie, przeważnie 60-letnią choiną zarosłym, w miejscowości suchej, nie bagnistej, stadami wilków często nawiedzanej. Świerk miał blisko 50 stóp wysokości, a $3^1/_4$ stopy grubości pnia (średnicy) na $1^1/_2$ metra od ziemi.

Na wysokości 32 stóp od ziemi wichry ułamały niegdyś wierzchołek tego drzewa — później z tego miejsca wyrosły 4 nowe wierzchołki, tworząc swemi konarami rodzaj olbrzymiego kosza. U spodu tego rozgałęzienia na 32 stóp ponad ziemią niedźwiedź ułożył się do zimowego spoczynku, utworzywszy sobie coś na kształt bocianiego gniazda z odgryzionych wokoło łochwy świerkowych gałązek. Łochwa była owalnego kształtu, bokami na $1^1/_2$ stopy wysokim brzegiem obwarowana. Na przodzie okolenie łochwy było przerwanem w miejscu, gdzie łeb niedźwiedzia leżał, a z tyłu od strony łap tylnych zwierzęcia łochwa była lekko ku ziemi nachylona i również żadnym brzeżkiem nie ogrodzona. Gdyśmy pod owe drzewo podeszli, niedźwiedź pod-

*) Pomimo, iż w przeszłym numerze „Łowca“ powtórzyliśmy już za warszawskiem „Słowem“ relacyę o tem polowaniu, pozwalamy sobie zamieścić i powyższą korespondencyę oryginalną, ze względu na niektóre ciekawe szczegóły dodatkowe, które w sobie mieści. *P. R.*

niósł się na przednie łapy w swem zielonem gnieździe bocianiem, i p. Fałat skorzystał z tej chwili, by odfotografować go za pomocą aparatu sekundowego. Wnet padł pierwszy strzał. Zwierz kulą w kark draśnięty, zaczął złazić z drzewa z łbem do góry zwróconym. Widok był tak niezwykły, że myśliwi blisko stojący strzelanie na chwilę wstrzymali. Dopiero jak niedźwiedź na ziemię zlazł, gradem kul go przyjęto i wnet ubito. Był to samiec szaro-żółty, 3—4-letni, mały, o łbie nieco spiczastym, t. zw. „morowiejnik". Nie był on wszelako najmniejszym z małych, bośmy na tegorocznem polowaniu jednego mniejszego jeszcze ubili, a 3 nie wiele co większych. Książę Maciej Radziwiłł, który skórę owego niedźwiedzia posiada, na żądanie nie omieszka pewno dokładnych rozmiarów ubitego niedźwiedzia podać. W ogóle na tem polowaniu tylko jednego niedźwiedzia niezwykłej miary ubito; był on czarny i mierzył 1 meter 85 centimetrów w długości korpusu, a łeb między uszami miał 27 cm. szerokości. Niedźwiedzia tego ubił Branicki i przeznaczył go na wypchanie do swego muzeum w Warszawie. Królem polowania był książę Maciej Radziwiłł, który 3 niedźwiedzie ubił. Dodać jeszcze winienem, że ów niedźwiedź na drzewie nie był białoszyjką, i że nikt w Litwie nigdy ł o c h w y na drzewie dotąd nie widział. *A. S.*

Z l a s ó w L u b a r t o w s k i c h (w Królestwie Polskiem).

(Smutne stosunki łowieckie.)

Polowanie zamknięte, karnawał skończony, a nastał post — pora najwłaściwsza do wspomnień i rozmyślań. Szczęśliwi ci, którym miniony sezon dał chwile, których wspomnieniami mogą sobie teraz czas uprzyjemnić; na mnie Dyana była w tym roku wyjątkowo niełaskawą, a o boginiach naszych salonów i saloników tylko marzyć mi było wolno, więc z konieczności, zamiast wspomnieniom — rozmyślaniom się oddać muszę.

Cóż, kiedy i one doprowadzają mnie do smutnych wniosków, szczególniej, gdy idzie o nasze łowy.

Jeżeli unormowaniem stosunków łowieckich nie zajmie się ogół, pojedyńcze jednostki pomimo najlepszych chęci nie wiele zrobią, a świetne niegdyś nasze łowy przejdą razem ze szczęśliwszymi czasy — do historyi. Że to zdanie jest prawdziwe, przyzna mi każdy koroniarz, znający nasze łowy. Podczas, gdy dobrze zagospodarowane pod względem łowieckim lasy można by u nas na palcach policzyć, przeciętne polowania dają bardzo nędzne rezultaty.

Takie knieje jak nasza, gdzie przynajmniej coś robi się dla zwierzyny, i strzela się ją tylko w czasie dozwolonym, i gdzie, bądź co bądź, z każdym rokiem widać choć nieznaczne powiększenie się zwierzostanu, należą już do lepszych.

Rezultaty naszych polowań w resztkach sławnych ongi lasów Lubartowskich, obecnie własnością Banku państwa będących, w przeciągu ostatnich lat dwu przedstawiają się jak następuje:

	Rok 1886/7.	Rok 1887/8.
Zabito rogaczy	4	2
„ lisów	6	1
„ zajęcy	42	97
„ jarząbków	5	—

W roku bieżącym do rogaczy strzelano tylko na j e d n e m polowaniu, urządzonem dla gości z Warszawy, którzy, przyznać im trzeba, pudłowali skandalicznie. Między innymi jeden przepiękny stary rogacz przeszedł wzdłuż całej linii z 8 myśliwych złożonej, którzy dali doń 13 strzałów bez skutku. (Św. Hubercie, przebacz fuszerom!) Miłość własna zniewala mnie do zrobienia uwagi, że ja na tem polowaniu nie byłem.

Później już do rogaczy nie strzelano, choć nie rzadko się z nimi spotykaliśmy.

Lisy gdzieś się tego roku wyniosły, czemu prawdopodobnie zawdzięczać należy znaczną poprawę w stanie zajęcy.

Polowań wszystkich było 5, które odbywały się przy udziale 5 myśliwych, raz jeden było ich ośmiu. Nagonka składała się z 10 do 20 ludzi z kołatkami. Oprócz tego w dwuwłókowym zagajniku przy domu, wśród pól, polowaliśmy kilka razy z dwoma psami gończymi, zabijając zwykle po zającu na osobę.

Pochwalić się musimy, że w żadnym chyba roku nie pudłowaliśmy tak, jak w tym. Na otwarciu polowania w kniei daliśmy do 27 zajęcy 39 strzałów. Wieczorem na rozkładzie były — 4 zające! które padły z rąk jednego myśliwego, a i ten „król" (skromność nie pozwala mi go wymienić) spudłował do piątego zająca z obu luf na dwadzieścia kilka kroków na gołoborzu! Stary gajowy chciał okurzać nasze bronie paprocią, twierdząc że je ktoś urzekł... Może to i prawda.

Tyle o lasach. Dwa lata temu w owym „roku kuropatw", pisząc do „Łowca", zrobiłem uwagę, że w skutek klęski, jaką wielkie śniegi zadały owym pociechom pól naszych, może się okazać potrzeba wstrzymania się od tego polowania przez parę lat. Tak się też stało. Dwa lata już kuropatw nie strzelamy i na rok przyszły obiecywałem sobie możność odstrzelenia jakiej setki kurek, ale niestety ciężka obecna zima dziesiątkuje je znowu. Nie mając odpowiedniego budynku do przezimowania kuropatw, musieliśmy ograniczyć się do sztucznych remiz i karmienia, ale to ustrzedz ich nie mogło od jastrzębi i chłopów kłusowników.

Jastrzębie były w tym roku wyjątkowo zuchwałe, a głód zmuszał je nawet do zmiany obyczajów. Wł. Taczanowski w swojem znakomitem dziele o ptakach krajowych mówi, że jastrząb gołębiarz poluje zawsze w pojedynkę, a K. hr. Wodzicki w Zapiskach ornitologicznych dodaje jeszcze, że każdy ptak obiera sobie na zimę pewien rejon, w którym stale przebywając, nie wpuszcza doń żadnego obcego przybysza. Tymczasem w tym roku dnia 12. stycznia w samo południe widziałem na własne oczy, jak dwa gołębiarze (roczne) w asystencyi dwu krogulców wpadły na folwark, i jeden z nich, nie zważając na ludzi, porwał pięknego gołębia. Pokazuje się, że wspólna niedola nietylko ludzi zbliża do siebie.

Letnie polowania nasze zeszłoroczne także do pomyślnych nie mogą być zaliczone. Ciąg dubeltów był dość obfity lecz bardzo krótko trwał. Wybrawszy się w pierwszych dniach sierpnia na sławne dubelcie błota we Włodawskie, nie udało mi się ani razu spotkać więcej nad 6 sztuk dubeltów, podczas gdy na tydzień przed moim przyjazdem, t. j. d. 2. sierpnia, p. Zab. z Opola na tych samych błotach zabił jednego dnia 50, a nazajutrz 90 dubeltów. Dla mnie najpomyślniejszymi pod względem ilości danych strzałów były dnie 12. i 21. sierpnia. Pierwszego dnia dałem 14 strzałów, od których padło: 1 cietrzew, 6 dubeltów, 4 krzyki i 1 derkacz (do cietrzewia dwa strzały, do jednego krzyka pudło); drugiego na 17 strzałów zabiłem 1 słonkę, 5 dubeltów, 9 krzyków (2 pudła do krzyków).

Kaczki bardzo wcześnie przeniosły się z lęgowych błot na duże jeziora, tak że ich nie wiele zginęło.

Przepiórki przyleciały do nas w mniejszej niż zwykle ilości i dopiero w połowie czerwca; stąd w czasie żniw wiele

zniesień przepadło, a we wrześniu nie wszystkie jeszcze były warte strzału. Zauważyłem, że wyjątkowo często przebywały na błotach.

Ogólny rezultat mego tegorocznego polowania wyjątkowo mizerny. W dzienniku zapisałem 2 cietrzewie, 20 przepiórek, 26 kaczek, 11 cyranek, 1 słonkę, 29 dubeltów, 60 krzyków, 1 ficlauza, 9 derkaczy i 16 zajęcy, razem 175 sztuk, a oprócz tego 4 jastrzębie i 2... wściekłe psy.

Zobaczymy, co nam ten rok przyniesie, choć długotrwałe śniegi, mrozy i wylewy nie rokują nic pomyślnego.

Bolesław G.

Staresioło dnia 14. kwietnia 1888.

(Sprawozdanie łowieckie.)

W ostatnim artykule moim w „Łowcu" wyraziłem obawę, iż śniegi nawalne, silne mrozy i wielka ilość przybyłych tu lisów, dadzą się tego roku zwierzynie, pomimo najtroskliwszej opieki, nadzwyczaj we znaki.

Do rewiru Starosielskiego, który najwięcej w zwierzynę obfituje, ściągnęło się z różnych stron tyle lisów, jak przedtem nigdy jeszcze nie pamiętano. Urządzono wprawdzie na nie dnia 6. grudnia polowanie, jednakowoż z powodu śnieżycy, deszczem przeplatanej, która cały dzień trwała, oprócz 1 żbika, 1 rogacza, 43 zajęcy i dwóch lisów nie ubito nic więcej, lisy bowiem, jak zwykle przy takiem powietrzu, w jamach siedziały.

Przewidując, jakie ogromne nieszczęście przy tak niesłychanie srogiej zimie sarnom i zającom od tych rabusiów zagraża, i mając już na pozostałych szczątkach zwierzyny rozszarpanej przez lisy, liczne tego dowody, wydałem im zaciętą wojnę, która z powodu spóźnionej pory długo trwać nie mogła, lecz mimo to dość pomyślnym skutkiem uwieńczoną została.

Przedewszystkiem dałem dozorcom polecenie, aby w nocach jasnych przy ponęcie lisy strzelali, w dzień zaś aby mieli baczne oko na każdego szybko pomykającego zająca lub sarnę, bo zapewne przed lisem uciekają. Instrukcya okazała się praktyczną. Jeden z dozorców, dobry myśliwy, wracając przez swój oddział do domu, spostrzegł uciekającego zająca, a tuż za nim lisa i tego celnym strzałem na miejscu położył. Poszedłszy kilkaset kroków dalej, stanął znowu na głównym wekslu. Ledwie miał czas wziąć strzelbę do ręki, spostrzegł nagle młódkę, którą lis prawie już chwytał. Przezorny mykita ujrzał jednak dozorcę i do pobliskiej debry przed strzałem się wymknął. Dozorca został na miejscu i czekał. Wtem po niejakim czasie zjawia się drugi lis, za tą samą sarną goniący. Ten padł od celnego strzału. Lecz nie dość na tem. Nabiwszy świeżo strzelbę i stojąc w krzakach ukryty, słyszy dozorca odzywającego się lisa, który przedtem do debry się schował i tam prawdopodobnie strzału nie dosłyszał, lub może nie wiele sobie z tego robił. Mykitka zbliżył się teraz prawie pod same nogi dozorcy, lecz tu zarówno jak jego zuchwałe poprzedniki, padł trupem na miejscu.

Strzelali i inni dozorcy, zwłaszcza przy ponęcie, z mniejszym lub większym skutkiem, lecz żadnemu nie udało się, aby w biały dzień bez polowania i w tak krótkim czasie aż trzy lisy ubić, bo też to i nie tak prędko się zdarzy.

Ogólny rezultat wydanej tym rabusiom wojny był następujący:

na polowaniach z nagónką ubito lisów sztuk 5
przy ponęcie i na wekslach „ „ „ 19
struto strychniną „ „ 16

Polowano również i na polach na lisy, a jaka ilość była tych rabusiów tego roku u nas, mogą sobie szanowni czytelnicy wyobrazić, kiedy w remizie niespełna dwumorgowej w jednej godzinie sześć lisów ubito, w innej znowu trzy, a zatem w niespełna dwu godzinach padło 9 lisów; później za 4 tygodnie ubito w tychże samych remizach znowu 4 lisy, zaś na podjezdnem z sanek na otwartem polu 6, razem 19 sztuk, co czyni z powyżej wykazanemi ogółem 59 sztuk.

Nadmienić jeszcze muszę, że z wyjątkiem kilku zastrzelonych w remizach, cyfra ta dotyczy wyłącznie rewiru Starosielskiego, i że otrutych strychniną zostało z pewnością o wiele więcej, czego najlepszym dowodem, iż teraz jeszcze na polach i w lasach odnajdują się pojedyńcze egzemplarze, które z powodu ogromnych śniegów trudno było wówczas odszukać.

Sarn rozszarpanych przez lisy znaleziono 5, napadniętych przez nie odebrano 2, zginęło na wycieńczenie 2, wskutek zmarznięcia 2, pomiędzy temi były 4 rogacze i 7 kóz; po innych tu i owdzie znalezionych szczątkach, trudno było oznaczyć z jakich powodów śmierć nastąpiła.

Zajęcy nieżywych znaleziono stosunkowo mniej; jest więc nadzieja, że może nie będzie tak źle, jak przypuszczałem, zwłaszcza iż w skutek silnych mrozów rzut pierwszy znacznie się spóźnił, co też na dalszy rozwój młodzieży tylko korzystnie oddziaływać może.

Z pomiędzy skrzydlatych drapieżników robią nam najwięcej szkody kurniki *(Astur palumbarius)* i orzeł zyz *(Aquila chrysaetos)*. Kurników ubito w ciągu zimy sztuk 13, orła 1. Łapiemy również kurniki w klatkę na sposób samotrzasku, co się bardzo praktycznem okazało.

Kuropatwy, które do przezimowania złapano, wypuszczono na wolność; inne przebywszy szczęśliwie niebezpieczną porę, rozbiły się w parki tu i owdzie spotykane.

Pierwszą słonkę ubito u nas d. 21. marca na ciągu; przez dalszych trzy dni nie widzieliśmy ich prawie nigdzie, dopiero z dniem 25. marca rozpoczął się ciąg dość dobry, który dotąd trwa dalej. W miejscach wilgotnych i gęstą zaroślą pokrytych jest ich tego roku o wiele więcej niż zwykle; na wysokim lesie spotkano bardzo mało.

Dnia 9. b. m. znaleziono na torze kolejowym dubelta, który najniezawodniej zabił się, uderzywszy o drut telegraficzny.

Wilhelm Beer.

Lachowice w kwietniu.

(Klęska sarn.)

Piszę tych słów parę pod wrażeniem klęski, jaka myśliwych spotkała, a mianowicie z powodu niezwykłego wyginięcia sarn w naszych stronach. Tak np. w Bukaczowcach, w rewirze kilkusetmorgowym znaleziono 12 sarn; w innem rewirze tej samej miejscowości 4 sarny. W sąsiednich dobrach Żurawieńskich w rozmaitych rewirach znaleziono po kilka sztuk nieżywych. Tem dziwniejszem jest to, że od kilkunastu dni mamy ciepło i żywności nie brak po zrębach i oziminach. Różnie różni utrzymują, co za powód tego pomoru sarn. Jedni powiadają, że choroba płuc, inni zwalają na motylicę; co do mnie, ośmielam się twierdzić, iż nie inna tego przyczyna, tylko nędza i głód do niedawna z powodu wielkich śniegów. Wszystko to zaszczepiło zarody choroby, która dziś, pomimo dostatecznego pożywienia, okazuje się już zabójczą. Tam, gdzie zwierzynie dawano koniczynę i choć nieco karmiono, mniej wyginęło, jak np. w Be-

reźnicy u p. Pawlikowskiego, gdzie stan zwierzyny jest świetny.

Wspomnieć także muszę o kłusownictwie, które niemało przyczynia się do ubytku zwierzyny u nas. Chłopi stają do każdej licytacyi polowania i przepłacają, by uzyskać prawo, ale też tam, gdzie polowania dzierżawią, nie ma na około zwierzyny, gdyż i na granicach wybijają co do nogi. Trudność chwytania kłusowników jest ogromna. W wielkich rewirach podsuwają się aż do głębi lasów, zakładając sidła druciane na sarny. Na dowód niech posłuży ten fakt, że znany u nas i ceniony myśliwy, p. Chomicki, adjunkt sądowy, przywiózł jednego dnia do 20 takich sideł sarnich wraz ze złapaną sarną.

Energii i dobrym chęciom p. Chomickiego zawdzięczamy jeszcze, że o ile może, ściga kłusowników, jako też, dzierżawiąc kilkanaście gmin, powagą swoją przyczynia się do wstrzymania się od polowania wielu a wielu nieuprawnionych. *Tadeusz Romanowski.*

Lwów, dnia 16. kwietnia.

(Licencya na wybicie kóz.)

C. k. Starostwo w Rohatynie w skutek podania zarządu lasowego w Bukaczowcach udzielić miało, jak wieść niesie, pozwolenia na ubicie 30 sztuk sarn (kóz) w lasach tamtejszych, będących własnością bar. Christianego-Kronwalda — a leśniczy tamtejszy, chcąc zapewne przysporzyć dochodu skarbowi, robił starania pomiędzy handlującymi zwierzyną po Lwowie, aby skazane na śmierć kozy zbyć jak najkorzystniej.

Znając stosunki kniei Bukaczowieckiej bardzo dokładnie, nie mogę się powstrzymać od zdziwienia, na jakiej podstawie pozwolenie takie udzielone zostało, a właściwie jakie motywa podał zarząd lasowy do tej sarniej hekatomby. O ile wiem ustawa pozwala w wyjątkowych razach na ubicie pewnej ilości sztuk sarn tylko wtedy, jeżeli stosunkowo do obszaru lasu jest ich za wiele, i skutkiem tego wyrządzają szkody w kulturach i ziemiopłodach; powtóre właściciele sąsiednich lasów powinni się za tem oświadczyć.

Że w lasach Bukaczowieckich na obszarze 3000 morgów lasu jest wszystkiego zaledwie 40 sztuk sarn — mogę śmiało twierdzić na podstawie własnego przekonania i twierdzenia wielu innych, stosunki tamtejsze znających myśliwych.

Poprzedni nadleśniczy, który zaledwie rok minął jak ztamtąd ustąpił, a któremu też zawdzięczyć należy, że w lasach Bukaczowieckich ród sarni całkiem nie zaginął — może to poświadczyć.

Czy tacy sąsiedzi jak Wny Krzeczunowicz, Wny Tustanowski, znani z tej zalety, że zwierzynę pożyteczną szanować zwykli, nie zaś skazywać ją na zupełną zagładę, dali swe przyzwolenie? Pozwalam sobie o tem powątpiewać.

Czyż zresztą, wobec wyraźnego brzmienia §. 13. alinea druga ustawy z d. 30. stycznia 1875., gdzie przyzwolenie do wystrzeliwania kóz ze względów gospodarskich zastrzeżone jest wyraźnie c. k. Namiestnictwu, można przypuścić, że w tym wypadku tego tak ważnego pozwolenia udzieliło c. k. Starostwo we własnym zakresie?

Jako myśliwy i członek Towarzystwa myśliwskiego, którego celem jest szanowanie zwierzyny, apeluję do zarządu dóbr Bukaczowieckich, aby jakkolwiek pozwolenie władzy już uzyskał, raczył z niego nie korzystać, — gdyż mogę zapewnić, że nie ma tam ani jednej takiej kozy starej — któraby powinna ze względów łowieckich na śmierć być skazaną. *Ksawery Burzyński.*

Popieluchy 1. kwietnia.

(Ochrona słonek.)

Zdaje mi się, że warto podać do „Łowca“ spostrzeżenia, o których po dokładnem zbadaniu przekonałem się naocznie. Bywają okolice, w których, uważając słomkę lub „słonkę“ (żeby nikogo nie obrazić) jako ptaka przelotnego, polują na wiosnę z nagonką lub wyżłem. Myśliwi ci sądzą, że z powodu mnogości tej zwierzyny, żadnej jej szkody nie wyrządzają. Otóż będąc przeciwnego zdania, chciałem się przekonać, strzelając tylko na ciągu, jaki jest stosunek zabitej zwierzyny co do samic i samców. Zabiłem 23 słonek, które badane, dały następujący rezultat: 20 było samców, 3 samice. Między temi trzema była jedna taka zabita, którą druga ścigała, a więc oczywiście samica, o czem strzelający przedtem wiedział, nim strzelił. Stosunek ten przekonywa nas, że gdyby słonki tylko na ciągu podczas wiosny były strzelane, to nie ulega wątpliwości, że więcej padałoby samców niż samic, a przy pewnej uwadze strzelającego prawie same samce. Tym sposobem oszczędzałoby się samic, które nagonka z jaj spędza i byłoby mniejsze niszczenie tego i tak już srodze prześladowanego ptaka*). *Leśniczy.*

*) Dochodzą nas i z innych stron wiadomości, że przy wiosennem polowaniu na słonki z nagonką, spędzano po prostu samice z jaj. W pewnym wypadku przy patroszeniu słonek wydobyto już dość rozwinięte jaja. To wszystko nakazuje racyonalnemu myśliwemu, ażeby z wiosną tylko na ciągu do słonek strzelał, nabrawszy z powyższych przykładów przekonania, iż słonki nieraz u nas się gnieżdżą i polowaniem z nagonką są tylko w wysiadywaniu jaj turbowane. *P. R.*

KRONIKA.

Od Redakcyi. Kierownictwo literackie „Łowca“ objął z numerem dzisiejszym p. Juliusz Starkel.

W poczet członków gal. Towarzystwa łowieckiego wpisali się pp.: Habicht Wilhelm, Janicki Włodzimierz, c. k. adj., Postruski Włodzimierz, Romaszkan Mikołaj Br., Starkel Juliusz, Tarnowski Jul. Stefan hr., Tarnowski Juliusz hr. z Chorzelowa, Walter Józef.

Z posiedzeń Wydziału gal. Towarzystwa łowieckiego. Na posiedzeniu z d. 17. kwietnia b. r. załatwiono następujące sprawy:

1) Przyjęto do wiadomości sprawozdanie komisyi co do wyboru delegatów i z poza grona członków Towarzystwa i wniosek komisyi co do rozesłania większej liczby egzemplarzy „Łowca“ znaczniejszym obszarom polowaniowym z wezwaniem, dostarczania w zamian za to korrespondencyj do „Łowca“.

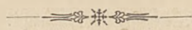
2) W zasadzie oświadcza się Wydział za przyjmowaniem więcej delegatów w jednym powiecie i na wniosek Wgo Ordynata Czarkowskiego mianuje delegatami na pow. pilzneński pp. Zapalskiego, Reinholda, Kolata, Bujanowskiego i hr. Witołda Lubieńskiego: na powiat staromiejski pp. Zichlera, Fangora, Drezińskiego, ks. Pasławskiego i ks. Flunta; na powiat

nowosądecki pp.: Głębockiego, Zielenieckiego, Gostyńskiego, Góralczyka i Jarosza. Dla uniknięcia kolizyi mają być ci pp. delegaci zawiadomieni także o równoczesnem zamianowaniu delegatów i innych osób w tym samym powiecie.

3) Z powodu skonstatowanego wypadku zabijania ryb w czasie tarła w niedozwolony sposób, uchwala Wydział zwrócić na tę okoliczność uwagę sfer kompetentnych.

4) Z uwagi na potrzebę ochrony słonek, o ile się one u nas gnieżdżą, postanowiono zbierać osobne daty i dostarczać je „Łowcowi“.

5) Uchwalono sporządzić kosztem Towarzystwa mapę Galicyi z uwidocznieniem lasów i poszczególnych dat łowieckich.



O bociana stoczyła się niedawno formalna batalia dziennikarska. Pierwszy strzał w obronie bocianów padł z galic. Towarzystwa ochrony nad zwierzętami. Wystąpiło ono z rzewną odezwą, ażeby wziąć bociany w opiekę, które, znalazłszy spóźnioną wiosnę, będą marzły i ginęły z głodu. Ta czułość, godna serc sentymentalnych, doprowadziła do pasyi pewnego „Myśliwego“. Wymierzył on następujący atak na „buśka“:

„Czytałem niedawno w dziennikach odezwę gal. Towarzystwa opieki nad zwierzętami, zachęcającą nas, abyśmy bociana — „tego tradycyjnego i bardzo pożytecznego ptaka“ — przyjęli gościnnie i nie odmówili mu przytułku. Jakby to dobrze było, gdyby to Towarzystwo, zanim odezwie się do ogółu z radą, zbadało rzecz bliżej i praktyczniej. Bocian nie jest i nigdy nie może być uważany za ptaka pożytecznego; przeciwnie jestto szkodnik przewyższający najdrapieżniejsze nawet stworzenia. Jeden bocian wyniszcza po kilkanaście sztuk dziennie drobnego ptactwa, zaledwie wylęgłego, jakoto kuropatw, przepiórek, skowronków, błotnego ptactwa i t. d., niszczy też bardzo wiele gniazd tychże ptaków, wyjadając jaja. Nieraz udało mi się zastrzelić tego szkodnika na młodem zbożu, gdy przygniótłszy swoim potężnym dziubem młodego zajączka, gotował się do spożycia takowego. Żaden kłusownik ani też specyalista od łowienia ptaków na sidła, tyle ich nie wyniszczy ile jeden bocian w ciągu pobytu u nas w lecie. Weźmy zresztą przykład z zagranicy, gdzie podobnych wrogów nie tylko nie przynęcają, lecz pod surową karą policyjną dawno wzbroniono utrzymywać gniazd tych rabusiów. Mądry i przebiegły ten ptak wie, z czyjej naiwności korzystać, i prawie wyłącznie u nas tylko tak chętnie przebywa. Nadeszła pora, iżbyśmy nareszcie także zrozumieli swój własny interes i o ile można niewdzięcznikom gościny odmawiali, a przynajmniej nie torowali do nas drogi.“

Morderczy to pocisk, a tem straszniejszy, że stoi niestety w zupełnej zgodzie z drobiazgowemi badaniami zoologów. Lecz Towarzystwo ochrony, a raczej jakiś ukryty jego obrońca, nie dał za wygranę i zamieścił następującą replikę:

„Jakiś „Myśliwy“ zamieszcza odezwę, wzywającą do tępienia bocianów jako szkodników. Co do pożyteczności bociana myśliwy może mieć racyę lub może też jej i nie mieć, w każdym razie to koncept niemiecki. Bocian z dawien dawna jest naszym gościem, przybywa do nas w zaufaniu — a już to taka polska natura, że kto wstąpi w progi nasze, choćby to było szkodnik-zwierzę, to i włos mu ze łba nie spadnie. „Myśliwy“ ów powiada, że bocian czyni szkodę w polu gospodarzom. Jeżeli wyrządza szkodę, to dlatego, ażeby siebie i swoje małe wyżywić. Bądźmy więc sprawiedliwi.“

Dodać trzeba, że replika ta była zaprawiona licznemi dygressyami politycznemi, sprawą gorzelnianą, paralelami między zgubnością pisma a szkodliwością bociana — jednem słowem najserdeczniejsza krew polityczna (czytaj: atrament) pociekła w batalii o buśka.

Szczęk broni był tak wielki, że echo odbiło się aż o Warszawę. Tam, gdzie już zapewne trudniej o „koncepta niemieckie“, a „gościnność polską“ znają może lepiej niż z imienia, z taką znowu opinią wystąpił kronikarz „Kłosów“:

„W Galicyi wiosenne klęski przyrody wywołują, jak zwykle, filantropijne odezwy w sprawie pokrzywdzonych przez rozpęd natury mieszkańców okolic nadrzecznych. Obecnie głosy takie brzmiały w obronie nietylko ludzi, ale i... bocianów. Galicyjskie Towarzystwo opieki nad zwierzętami ogłosiło światu, że z powodu spóźnionej wiosny, te klekocące długodzióbe ptaki znajdują się w dość przykrych warunkach i wezwało litościwych rolników, aby pomagali w krytycznych chwilach bocianiemu rodowi. Wbrew temu, podniósł głos w jednem z pism p. „Myśliwy“, dowodząc, że ten ukochany, tradycyjnie sławiony „bociek“, jest ni mniej, ni więcej, tylko rozbójnikiem, łupiezcą, gorszym od jastrzębi i kłusowników, że tępi mnóstwo młodych ptasząt, jak kuropatw, skowronków, niszczy jaja innych ptaków, a nawet „pałaszuje“ maleńkie zajączki. Zyskał on sympatyę po wsiach jako tępiciel wężów, żab i jaszczurek. Tymczasem owe węże błotne są to niewinne stworzenia, które nikomu nic złego nie robią, jaszczurki także nie mają nic jadowitego, chociaż przysłowie krzywdzi niesłusznie te małe gady, a pewne odmiany żab, jak np. ropuchy, pomimo swej obrzydliwości, są niesłychanie użyteczne w ogrodach i polach, jako tępicielki szkodliwego robactwa. We Francyi n. p. istnieją osobne targi na ropuchy, które w ogrodach bywają starannie pielęgnowane, pomimo swej odrażającej powierzchowności. Tylko tępienie zwykłych żab wodnych jest pożytecznem dla gospodarstwa rybnego dziełem długodzióbego gastronoma, który poszukuje na błotach delikatnej strawy. W innych krajach, gdzie kultura gospodarska stoi wysoko, utrzymywanie gniazd bocianich jest zakazane przez prawo i przepisy policyjne, — w Galicyi tymczasem, w ich obronie ogłaszają sentymentalne odezwy instytucye krajowe. Zdaje się jednak, że Towarzystwo galicyjskie powinno być dobrze poinformowane co do użyteczności lub szkodliwości tak powszechnie znanego ptaka. Gdyby szło o stronę poetyczną i tradycyjną, to z przyjemnością podnosiłbym głos w obronie bocianiego rodu. Pamiętam jeszcze z lat młodzieńczych, z jaką radością przez okno nizkiego wiejskiego domku oczekiwałem tej chwili, gdy bociany siadały na szczycie olbrzymiego dębu, który swe konary rozpościerał nad ogrodową sadzawką. Ale skoro bociany są niszczycielami, jak o tem zapewniają kompetentni myśliwi, więc nie mogę ich brać w obronę... chociaż, prawdę mówiąc, nie ma na ziemi gatunku zoologicznego, któryby w tej mierze przewyższył człowieka. Ten ostatni wszelakoż powołuje się na wysokie prawa, które mu pozwalają tuczyć się mięsem innych stworzeń i ma często przekonanie, że ziemia została urządzoną *a priori* w taki sposób, aby to było korzystne dla jego kieszeni i żołądka. Ponieważ ani czworonogie, ani dwunogie skrzydlate, ani żadne zgoła stworzenie przeciwko takiemu porządkowi rzeczy nie protestuje, nic zatem dziwnego, że na całym świecie człowiek przyznaje sobie monopol polowania i urządza sprawy swoje łowieckie najkorzystniej dla siebie. Czy nie należałoby u nas, w interesie ludzkich żołądków, zabezpieczyć młode zajączki (byle nie lęgnące się w głowach niektórych domorosłych socyologów), kuropatewki, przepiórki i inne tym podobne a smakowite stworzenia przed żarłocznością bocianich dziobów? Zostawiam tę kwestyę do roztrzygnięcia naszym specyalistom.“

Wypada i „Łowcowi“ zabrać głos jako kompetentnemu sędziemu. A po czyjejż stronie mamy stanąć — poetów czy zoologów? Nie może tu być ani chwili wahania: milszy nam jest ród kuropatw, przepiórek, kaczek, skowronków i t. d. niż ród buśków, tem bardziej, iż lekarze zapewniają, że i inne ptaszki mogą na siebie wziąć trud przynoszenia mateczkom małych dzieciusiów... Poezya całego świata, a polska więcej może niż inne, oddała już hołd bocianowi wyższy nad jego zasługi. Jeśli więc pozostanie pięknym w tradycyi, musi przyjąć to jako sute odszkodowanie za zwrot nieprzyjaźny, na który natrafia obecnie u myśliwych i zoologów. Wszędzie, gdzie dbają o racyonalne gospodarstwo myśliwskie, strzegą się od rozmnażania bocianów. Nietylko w Niemczech, lecz i we Francyi i w Czechach i w Kongresówce, a nawet tu i owdzie u nas, wolą mieć stadka kuropatw w trawie, niż bociana na dębie. Wzywanie do ochrony bocianów n i e m a w i ę c n a j m n i e j s z e j p o d s t a w y, choć nie idzie zatem, ażeby im wydawać krwawą wojnę i tępić ze wszystkiem. Bronić się tylko należy od zbytecznego rozmnożenia tego szkodnika, a resztę pozostawić naturze, która w takich objawach jak spóźniona wiosna, majowe mrozy i t. p. ma także dziwnie mądre sposoby regulowania zbytecznej hiperprodukcyi jednego i tego samego gatunku.

Nawet jelenie ginęły z głodu i umęczenia w zawalnej zimie ostatniej. „Kärtner Volksblatt“ podaje następujące szczegóły z Karyntyi:

Jelenie i sarny ucierpiały tej zimy bardzo wiele. Nękane głodem zbliżały się jelenie do samotnie stojących chat i wyjadały mech, którem zatykane są szpary pomiędzy berwionami drewnianych budynków. Rozrzucanie siana nie na wiele się przydało, gdyż zaraz je śnieg przykrywał, a ilość śniegów była tak wielka, że nawet silny jeleń idąc z sił upadał. Dużo też wyginęło śmiercią głodową. W rewirze Oberhof znaleziono 26 martwych jeleni, w rewirze Schafmanthal 13, w dalszym rewirze 3 — ile zaś padło w takich miejscach, dokąd jeszcze nie można się było dostać, trudno wiedzieć.

Pewnego razu pod wiosnę przyprowadzili chłopi jelenia, który już nóg za sobą włóczyć nie mógł, do Oberhof, ażeby go tam karmić i od głodowej śmierci uratować. Szlachetny rogacz nie chciał i teraz się poddać i rosochami godził w swych przyjaciół, ale siła uderzeń była bardzo słaba i nie groziła żadnem niebezpieczeństwem. Gdy mu rzucono siana, jadł je chciwie, ale był już zanadto osłabiony i ledwie drugiego dnia dożył.

Woźnica, który jechał z Fladnitz do Friesach, ujrzał łanię, stojącą pod drzewem. Wracając w 48 godzin później, znowu ją w tem samem miejscu zobaczył. Była za słabą, ażeby dalej brnąć przez głębokie śniegi i na tem też miejscu zginęła.

Koło Gorycyi w Merzavec ubito d. 10. kwietnia jeszcze na śniegach niedźwiedzia, który dłuższy czas wyrządzał szkody w bydle i drobiu. Jestto pierwszy niedźwiedź, którego tam od 20 lat widziano, ostatni bowiem padł w kwietniu 1868 w Tarnowańskich lasach. Ubity zeszłego miesiąca kudłacz miał sierć ciemną i mierzył dwa metry.

Lwia kronika. Dnia 14. kwietnia zlęgła lwica ogrodu zoologicznego w Schönbrunie dwoje młodych. Jest to już drugi lęg w ciągu czterech miesięcy, gdyż przed Bożem Narodzeniem obdarzyła była również tego samego małżonka, króla pustyń, dwojgiem lwiąt. (Lwica, jak wiadomo, nosi 100 do 108 dni i wydaje 2 do 3 młodych.) Ostatni ten miot jest znacznie słabszym od poprzedniego. Trzeba zaś nadmienić, że Schönbrunn posiada już od tej samej lwicy, lecz po innym samcu, który tymczasem zginął, roczną parę lwiąt, które się bardzo dobrze chowają. Rzadki to wypadek, aby ogród zoologiczny mógł się pochwalić trzema parami wydanych w niewoli lwów.

Ostatnie lwiątka są tak małe, że można je bezpiecznie na wyciągniętej ręce męzkiej pomieścić. Z pieszczotami tego rodzaju nie zgadza się jednak najęta do nich mamka — suka, która im bardzo chętnie ssać daje. Ubarwienie ich sierci jest ciemno-brunatne, pazury zaledwo widoczne. Lwica nie miała dość mleka i dlatego musiano kocięta od niej odłączyć.

Samiec nie troszczy się wcale swem potomstwem. Zdaniem zarządcy menażeryi cierpi on zresztą na błąd serca. W sąsiedniej, drewnianymi tylko sztachetami oddzielonej klatce, znajdują się lwięta, które przyszły na świat w Grudniu. Przerywają one często swe figlarne skoki i koziołki, ażeby zaglądać ciekawie do suki, karmiącej dwoje młodszego rodzeństwa. Mamka, duża wspaniała suka z rodzaju psów duńskich, jest nadzwyczaj troskliwą i sumienną w pełnieniu swych obowiązków. Lwięta, choć słabiutkie, zdołają się prawdopodobnie przy niej wychować.

Szczególnym zbiegiem okoliczności okociła się tego samego dnia i lwica ogrodu zoologicznego w Berlinie, a wydała na świat aż troje młodych. Ta pruska lwica okazała się jednak bardziej zachłanną niż austryacka; nietylko nie chciała pełnić obowiązków matki, ale objawiła niekłamaną chęć pożarcia swych młodych. Kocięta musiały być w końcu z klatki żarłocznej rodzicielki wyniesione i oddane także na wychowanie poczciwej suce.

Wilki w Prusiech. W obwodzie Arnswaldzkim (rejencya Frankfurtska n. O.) widziano pod wiosnę kilkakrotnie wilki, które tam zresztą wielką bywały rzadkością. Tłómaczą to długą i srogą zimą oraz następnymi wylewami.

Nowy gatunek kozy. Nie dziwno nikomu, jeśli dziś mikroskop robi nowe odkrycia zoologiczne, lub sieć, w znaczne głębiny morskie zapuszczona, wydobędzie na światło dzienne coś takiego, czego jeszcze oko ludzkie nie widziało. Ale odkryć dziś nowe zwierzę ssące i to wcale nie małe, a do tego na terytoryum europejskiem — to jest rarytas, którego chyba zoologowie nie przypuszczali. Tymczasem tak się stało. Podróżnik E. von Örtzen odkrył w ostatnich czasach nową kozę dziką, która zaliczoną już została przez zoologów jako nowy gatunek do rzędu przeżuwaczy i otrzymała nazwę *Capra Dorcas*. Jeden egzemplarz tej kozy dostawiono do berlińskiego ogrodu zoologicznego. Jest to koza silnie zbudowana, lecz mniejsza od kozy domowej, sierci rudawo-żółtej z ciemnemi smugami przez krzyże i w koło szyi. Ojczyzną jej jest wysepka Archipelagu greckiego Jura czyli Giura, na północ od Eubei położona. Jest ona trudno dostępną, a dla swej obfitości kóz była już w starożytności „Polyajpos“ nazywana. W ostatnich czasach spadł stan tego gatunku kóz do bardzo nielicznych egzemplarzy. Wiadomość o nich podał już był pewien podróżnik w r. 1844. Donosił on wówczas, że na Giurze roi się od dzikich kóz, ale od jakich, tego bliżej określić nie mógł, gdyż nie udało mu się żadnej dostać. Pomimo przyrzeczeń dobrej nagrody nie dostał nawet roga, gdyż mieszkańcy okoliczni twierdzili, iż kozy owe tak są dzikie i złe, że myśliwego odrazu napadają i spychają w przepaść.

Koziołek, którego umieszczono w ogrodzie zoologicznym w Berlinie, jest także bardzo dziki. Z szaloną siłą uderza łbem o kratę, zwróconą ku widzom, a powyginane już teraz sztaby żelazne świadczą, że nie byłoby żartu spotkać się z nim na wolności. Niektórzy sądzą, że nie koza bezoarowa *(Capra bezoartica* albo *C. Aegagros)* jak dotąd przypuszczano, lecz *Capra Dorcas* jest antenatką kozy domowej. Brehm w swoim „Thierleben“ przypuszcza jeszcze, iż na wyspie tej żyje *C. Aegagros*.

Z wędrówki ptaków. Ciekawe bardzo spostrzeżenie, dotyczące ptaków wędrownych, uczynił w ostatniej jesieni p. Buxbaum, nauczyciel w Raunheimie. Widział on dwa wielkie stada żórawi, ciągnące nad Raunheimem w stronę południową. Pierwsze stado ukazawszy się 21. października o godzinie 2 po południu, leciało wysoko i nic godnego uwagi nie przedstawiało; drugie atoli przeciwnie, lecąc 24. października bardzo blisko ziemi, mógł Buxbaum bardzo dokładnie obserwować, zwłaszcza, że księżyc w pełni oświecał całą okolicę. Już z daleka posłyszawszy krzyki żórawi, zwrócił na nie uwagę i ujrzał, iż lecą wprost na niego. Kiedy stado znajdowało się w bezpośredniej bliskości, usłyszał w gromadzie żórawi mnóstwo głosów drobnych ptaszków, a wytężywszy wzrok dostrzegł przy jasnem świetle księżyca kilkoro maleństwa, wędrujących z żórawiami. O tak późnej godzinie nie podobna było przypuszczać, aby te drobne, śpiewające ptaszyny otaczały żórawi z bojaźni, jak to się często zdarza widzieć podczas dnia; wiadomo bowiem, iż z nastaniem nocy spoczywają w swoich gniazdkach. Przytem nie było słychać żadnego krzyku dowodzącego przestrachu, jaki zwykle małe ptactwo w takim razie wydaje. Przeciwnie, to co Buxbaum teraz słyszał, było raczej wesołem, radosnem świergotaniem.

Należy więc z pewnością przypuszczać, iż gromadka małych śpiewających ptaszków przyłączyła się do żórawi dla odbycia z niemi peryodycznej w południowe strony wędrówki. Buxbaum powiada, iż nie wiele tyh drobniutkich stworzeń mógł dojrzeć, lecz sądząc po świergocie, mniema, iż ich tam dosyć być musiało. Czy one częściowo zajmują dla wypoczynku miejsce na grzbiecie żórawi, jak to już niejednokrotnie obserwowano, tego nie może stanowczo twierdzić, ale mniema, iż łączenie się małych ptaszków w jedno towarzystwo z dużymi w celach wspólnej wędrówki, nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Przeciw tępiącym ptactwo. W Niemczech i we Francyi wydano w ostatnich czasach surowe przepisy przeciwko tępiącym ptactwo, które jak wiadomo, najlepiej ochrania zasiewy i sadzonki od niszczenia ich przez szkodliwe robaki. W skutek tego w Rossyi i Królestwie Polskiem pojawiło się mnóstwo spekulantów, którzy ptactwo wyławiają i w ogromnych ilościach wywożą za granicę. Ażeby temu zapobiedz, przewodniczący w warszawskiem Towarzystwie opieki nad zwierzętami zwrócił się do pp. gubernatorów z prośbą o zarządzenie środków, mogących zapobiedz temu stanowi rzeczy.

I u nas należy zwrócić uwagę władz a zwłaszcza c. k. żandarmeryi na tę okoliczność, że tej wiosny pojawi się może więcej złodziei słowików i innych pożytecznych ptasząt, i że w myśl §. 8. ustawy z dnia 21. grudnia 1874 obowiązani są do ścisłego czuwania, aby nie chwytano ptaków, które ustawa ta ochraniać nakazuje.

Dla emerytów do naśladowania. W Warszawie utworzyło się było zeszłej jesieni kółko emerytów, którzy, przez czas zimowych miesięcy, postanowili karmić ptaszki na placach i w ogródkach miejskich. Z zadania tego miłośnicy ptaków wywiązali się znakomicie, codziennie bowiem każdy z nich obchodził swój rewir i sypał ziarna, chleb i t. p. pożywienie. Dopiero w połowie kwietnia czynności te zostały zawieszone, wszyscy jednak uczestnicy dali sobie słowo, iż w listopadzie na nowo rozpoczną swoją działalność. Przez pięć miesięcy karmienie ptaków kosztowało ogółem rs. 68 kop. 80, czyli każdy z szesnastu opiekunów wydał po rs. 4 kop. 30.

Mandżurski skowronek. Pewnemu urzędnikowi ministerstwa marynarki w Paryżu, wracający żołnierz z Tonkinu przywiózł oryginalny podarunek. Jest nim ciekawy bardzo ptak; nazywają go skowronkiem mandżurskim, albo chińskim. Wiadomo, że Chińczycy są wielkimi amatorami i hodowcami pierzastych stworzeń; owego skowronka, systematycznem wychowaniem doprowadzili do takiego stopnia doskonałości, że jest w stanie krzyczeć, śpiewać, świstać, a zarazem naśladować odgłosy wszystkich ptaków żyjących w granicach państwa niebieskiego. Właściwy mu śpiew jest zachwycający; talent zaś naśladowania tak wielki, że kto go słyszy, doznaje nadzwyczaj miłego a dziwnego wrażenia. Mandżurski skowronek będąc znacznie większym i grubszym od żyjącego w naszym klimacie, jako śpiewak przewyższa go siłą dźwięcznego głosu i bogactwem repertoaru chińskich pieśni. Ażeby dać wyobrażenie o właściwej mu sztuce naśladowania, dosyć powiedzieć, iż na ulicach Kantonu, spotyka się często skowronki szczekające jak psy, miauczące jak koty, beczące jak barany, piejące jak koguty, kwaczące jak kury i gruchające jak gołębie. Na wiosnę można widzieć Chińczyków chodzących po ulicach z klatkami a dążących na wielkie place,

gdzie zazwyczaj odbywają się skowronkowe konkursa i gdzie pewnego rodzaju przysięgli sędziowie wydają wyroki o ich śpiewie, wieńcząc celujących pierzastych wirtuozów nagrodami. Nie ma nic ciekawszego i zabawniejszego nad te egzamina, osobliwego w swoim rodzaju konserwatoryum. Podczas wielkich religijnych uroczystości przynoszą Chińczycy swoje skowronki do świątyni, zawieszają klatki na ścianach, ażeby pieśni ptaków bogom radość sprawiać mogły. Najznakomitszym wirtuozem w całem państwie niebieskiem jest skowronek młodego cesarza Chin, nazwany „Ching-wang-he“ (Pociecha duszy). Zamieszkuje on klatkę szczerozłotą, będącą pod opieką i dozorem mandaryna i licznej służby. W przeddzień wstąpienia na tron nowego monarchy „Pociecha duszy“ wyśpiewywał same tylko wesołe pieśni i z tego powodu panowała w cesarskim pałacu w Pekinie wielka radość, gdyż skowronek używa tam podobnej do Pytii wziętości. Jednak pomimo wszystkich talentów wykształcony pieśniarz mandżurski nie jest w stanie szkodzić naszemu prostaczkowi, który nie żadną ludzką sztuczką a tylko darem Stworzyciela swojego wzbiwszy się pod niebiosa tak cudownie śpiewa, iż duszę naszą przejmuje jakąś dziwną, nie dającą się opisać rozkoszą. Chociaż jest biednym i z powierzchowności bardzo skromnie, szaro wyglądającym, przecie ma nawet w historyi świata swoje maluczkie wprawdzie, lecz zawsze nielada znaczenie. Oto dumne rzymskie legiony w pochodzie na Gallią cieszyły się nieustannem towarzystwem skowronka, który im przez całą drogę przyśpiewywał. A ów pieśniarz, co to z brzaskiem dnia dawał hasło do rozłąki pomiędzy zakochaną najczulej na świecie parą Romea i Julii, czyliż wygaśnie kiedy o nim wspomnienie w pamięci poetów i tych wszystkich, co na świat i twory jego wdzięcznem sercem się zapatrują.

Pamiętne zimy w Europie. Z powodu ostatniej tak ostrej zimy w Europie i Ameryce, w prasie zagranicznej przypominają zimy, pamiętne w rocznikach niską temperaturą. W r. 396 przed Narodzeniem Chrystusa w Rzymie padał śnieg przez dni 40. W r. 299 po Narodzeniu Chrystusa zamarzło Czarne morze. W r. 359 zamarzł Bosfor. W r. 462 w Węgrzech wojska przeszły przez Dunaj z ciężarami. W r. 588 Czarne morze było zamarznięte przez dni 20. W r. 608 znaczna ilość winnych latorośli zginęła we Francyi od zimna. W r. 703 surowa zima panowała na Wschodzie; Czarne morze zamarzło na 30 łokci (!) w głąb. W r. 829 zamarzł Nil. W r. 860 śnieg i mrozy panowały przez całe półrocze; morze Adryatyckie zamarzło. W r. 974 przechodzono po lodzie Bosfor; we Francyi ludność ginęła od chłodu i głodu. W r. 1124 we Francyi ginęły od zimna kobiety i dzieci. W r. 1305 zamarzło północne morze na 3 mile od brzegów. W r. 1364 Rodan zamarzł na 4 metry w głąb. W r. 1323 po morzu Śródziemnem pływały ogromne bryły lodu. W r. 1408 Paryż cierpiał od zimna. W r. 1420 panowała znaczna śmiertelność od zimna i wilki pożerały trupy u wrót Paryża. W r. 1434 panował mróz we Francyi, nawet w kwietniu. W r. 1458 40-tysięczna armia rozłożyła się obozem na Dunaju. W r. 1507 port w Marsylii zamarzł, ludzie i zwierzęta ginęły od chłodów. W XVI. wieku wynaleziono termometr i od tej pory ściśle zaczęto oznaczać stopień zimna. W r. 1665 w Paryżu było 22 i pół stopnia niżej zera. W r. 1769 panowała zima nadzwyczaj surowa: kanał La Manche i morze Śródziemne zamarzły, w Paryżu było 23 stopni zimna i zamiecie trwały 60 dni, Sekwana była zamarzniętą dwa miesiące. W r. 1788 po kanale La Manche pływały lody. Następnie odznaczyły się zimnem lata: 1795, 1830, 1840 i 1846. W r. 1853 zamarzły wszystkie rzeki w Europie.

Walka niedźwiedzia z wilkami. Rosyjska „Gazeta Myśliwska“ przytacza zakomunikowany jej następujący opis walki niedźwiedzia z wilkami, jaka się odbyła w pewnej wsi mohilewskiej gubernii. Kilku myśliwych zasiadło nad ranem na zające, którym dla przynęty rzucano przez parę dni po kilka snopków owsa, w odległości strzału od jednej z ostatnich chat włościańskich, stojącej o jakie paręset kroków od lasu. Ażeby ułatwić sobie ową rzeź (wcale nie myśliwską) biednych szaraków, myśliwi zasiedli na strychu chałupy i oczekiwali na zwierzynę. Dwie godziny przeszły bez rezultatu. Nic nie naruszało spokoju pogodnej księżycowej nocy. Aż nareszcie wartownicy dojrzeli wytaczającą się z lasu czarną masę, której z razu niepodobna było rozpoznać; za ową masą ukazało się kilka sztuk wilków. Cała ta gromada szybko się zbliżała ku wsi; wreszcie myśliwi dostrzegli, że to niedźwiedź ucieka przed wilkami. Rzeczywiście myś podążał, o ile mógł najprędzej, ku wsi i dopadłszy do sągów drzewa, stojących pod samemi chałupami, jednym susem wskoczył na nie i chwytając szczapę po szczapie z zajadłością zaczął razić niemi swoich prześladowców. Wilki otoczyły go kołem i z głośnem wyciem rozpoczęły oblężenie, ale niestrudzony myś rzucając bez ustanku wielkiemi szczapami, utłukł trzy wilki a dwa pozostałe uważały za stósowne zrejterować. Zwycięzki niedźwiedź przesiedział długi czas na sągu i zapewniwszy się, że napastnicy już są daleko, pomału wyniósł się do lasu. A nasi myśliwi?... Nie strzelali wprawdzie do zajęcy, ale pozostały im w zysku trzy wilki ubite przez niedźwiedzia i... powyższa przygoda, mająca wszelkie kwalifikacye do zbioru „przygód myśliwskich“, którym, niestety, uwierzyć jakoś trudno.

Z powodzi. „Gazeta Toruńska“ opisuje następujące ciekawe zdarzenie z powodzi. Dwaj włościanie płynęli małem czółenkiem po wezbranych falach, które zalały ich wioskę. Przepływając około jakiegoś drzewa, zatopionego po same konary, spostrzegli na nim zająca. Biedny szarak, zaskoczony zapewne niespodziewaną powodzią i uniesiony falą, przypadkowo dopłynął do drzewa i znalazł schronienie pomiędzy szeroko rozpostartemi gałęziami. Włościanie, zbliżywszy się do drzewa, chcieli dosięgnąć wylęknionego zająca, wychylili się więc obadwaj z czółna, trzymając się gałęzi. Przechyliwszy się jednak za bardzo, utracili równowagę; łódź, odepchnięta ich ciężarem, usunęła się im z pod nóg i niefortunni myśliwi zawiśli na gałęzi, nurzając się w wodzie po szyję. Tymczasem czółno ruszyło powoli z biegiem fali, a spłoszony zając, szukając ratunku przed napaścią, jednym susem znalazł się w opróżnionej łodzi. Wiatr popędził łódź do brzegu i tym sposobem zając wyratował się szczęśliwie z toni, pozostawiając ratunek chciwych łupu włościan własnemu ich przemysłowi.

Nie dla psa kanapa. Mojemu Hektorowi — tak opowiada pewien myśliwy — zachciało się wygódek. Miał porządny siennik nie daleko drzwi, tymczasem zapachła mu kanapa. Nic dziwnego, była miękka i stała blisko pieca. Ale pies tak dobrze wychowany jak mój Hektor ani śmiał zamarzyć, ażeby kiedy w mojej obecności wyskoczyć na kanapę. Zanadto dobrze znał moje surowe zasady pedagogiczne. Tymczasem kilka razy znalazłem na kanapie ślady jakichś niedokładnie oczyszczonych nóg. Zkąd się one tam brały? Surowem okiem spoglądałem na Hektora, a ten oczy spuszczał, jak gdyby miał złe sumienie, lecz na gorącym uczynku nie schwytałem go nigdy. Kiedy pies mógł się puszczać na te wygódki? W tem sęk. Byliśmy bezustannie razem, chodził wciąż za nogą, spał w tym samym pokoju, a gdym świecę zgasił, widziałem go zawsze przyzwoicie śpiącego na sienniczku koło drzwi. Wtem samem położeniu widziałem go znów rano, ledwie się rozwidniło. A przecież mogło się to odbywać tylko w nocy. Postanowiłem Hektora wziąć na próbę.

Pewnego razu zgasiłem świecę i udałem, że śpię. Pies się nie ruszał. Po chwili oczekiwania zacząłem chrapać. Tego sygnału głębokiego snu oczekiwał snać Hektor, gdyż wstał i zaczął się wynosić z siennika. Że zaś, chcąc się dostać na kanapę, musiał przechodzić tuż poprzed moje łóżko, przemykał się tak cichutko jak cień. Nareszcie dostał się do kanapy i rozłożył na niej jak najwygodniej.

Złapałem więc Hektora na gorącym uczynku. Nie chciałem jednak wymierzać natychmiastowej sprawiedliwości. Chytrość ta poczciwego na pozór przyjaciela bolała mnie jednak i postanowiłem ją zwalczyć chytrością.

Nazajutrz, wypędziwszy Hektora na dwór, wydobyłem z kredensu miałkiego pieprzu i kanapę nim jak należy obsypałem. Hektor miał węch bardzo delikatny, na tej jego delikatnej stronie postanowiłem się zemścić. I zemsta nie zawiodła. Zaledwiem świecę zgasił i znowu zacząłem chrapać, odezwało się na kanapie wielkie kichanie. Hektor skoczył jak oparzony i kichał jeszcze długo na swoim sienniczku, ale od tego czasu nie widuję już nigdy śladu zabłoconych łap na kanapie.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: **Władysław Zontak**, ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.